Nr. 5. Warszawa, dnia 18 (30) Stycznia 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA

W SEJMIE PRUSKIM.

Ubiegający miesiąc przyniósł dwie bitwy, stoczone przez ministrów pruskich z przedstawicielami wschodnich prowincyj państwa. W d. 8 i 9 b. m. minister spraw wewnętrznych, von der Recke, napadł na agitacyę szląząką; w d. 20 i 21 b. m. minister oświaty i wyznań, Bosse, piętnował agitacyę poznańską. Na Szląsku rozwiązano zgromadzenie, które chciało radzić nad sprawami wyznaniowemi; w W. Ks. Poznańskiem rząd popiera instytucye agitatorskie Niemców, Hakatystów, od roku przeszłego wziął pod swą opiekę stowarzyszenia szerzące „niemiectwo w marchii wschodniej,“ utrzymuje w żadnej innej prowincyi monarchii pruskiej nieistniejących komisarzy obwodowych, jedynie tylko do ścigania agitacyi polskiej powołanych, a w budżet roku bieżącego na rozmaite potrzeby i cele tego rodzaju powstawiał spore sumy.

W obu wypadkach interpelacye z łona Izby pruskiej rozpoczęły bój. Wśród posłów szląskich, przy danej już istocie faktu objawić się musiała i tym razem jedność dążeń, zespalająca najczęściej centrum niemieckie ze ściślejszymi obrońcami żywiołu miejscowego. Centrum też zażądało od ministra wyjaśnień. Minister ich nie odmówił, ale zwięzłością ich, zarówno jak treścią, zadziwił. Rozwiązano zgromadzenie, to prawda, nie dlatego przecież, aby chciano swobodę konstytucyjną gwałcić, lecz dla tej prostej przyczyny, że nie miano pod ręką urzędników, rozumiejących język użyty do rozpraw w zgromadzeniu, wykonanie więc prawa nadzoru, tak dla swobód konstytucyjnych niezbędne, okazało się niemożliwem. Oto i wszystko — gdzie wina? Nie wszyscy na zapytanie to odpowiedzieli: nigdzie, ale sejm nie uchwalił bynajmniej rezolucyi, która niejako w porządku rzeczy leżała — i p. Recke mógł sobie powinszować zwycięztwa.

Świetniejsze jeszcze o wiele, w oczach większości sejmowej, odniósł kolega ministra spraw wewnętrznych von Bosse, podczas rozpraw nad budżetem pruskim. Gdy d. 20 b. m. poseł Motty zażądał zniesienia przepisów i instytucyj wyjątkowych „na obronę żywiołu niemieckiego,“ jak się wyraża preliminarz gospodarczy państwa — usprawiedliwienie żądania wydało się większości sejmowej nową niesprawiedliwością. Daremnie jej tłómaczył mówca, że pogodzenie się z wyrokami historyi, spełnianie ogólnych przez prawo publiczne nakazanych obowiązków obywatelskich, zasada wreszcie: *justitia fundamentum regnorum* domagają się zapewnienia warunków i poszanowania praw spokojnego rozwoju. Zarzuty oderwania się od państwa — mówił — są czcze, nikt nie przytoczy faktów, bo ich nikt nie znajdzie. Miotając się na wsze strony, podżegacze pamiętają o skuteczności molierowskiej rady: *Calomniez, calomniez toujours, il en restera quelque chose.* W końcu w. XIX panują stosunki, przypominające czasy Nerona. Dzieci prześladowane są za to, że nie odmawiają modlitwy pańskiej w języku podżegaczy. Instytucyą komisarzy obwodowych głównie podżeganiu oddaną, powinni ministrowie znieść. Zerwawszy raz z ową zasadą (Augustyna), ludzie, trzymający wodze w rękach, wytworzyli atmosferę, w której nawet niemieckim piersiom oddychać jest ciężko; z niemieckich nawet piersi wychodzi okrzyk zgrozy. *Quosque tandem?* — zawołał w końcu p. Motty.

Na tak podpartą skargę minister oświaty i wyznań odpowiedział w ten sens: Na Quosque mówcy mam *Quis tulerit Gracchos de seditione querentes?* Ten, kto się skarży na krzywdę, sam krzywdzi. Gdy się głośno mówi o wskrzeszeniu upadłego państwa — druga strona musi się opędzać, własność swą zabezpieczać, obowiązek samopomocy państwowej spełniać. Podżeganie miejscowe przejmuje ministra oburzeniem. Państwo nie może nie bronić swych praw. Prowincye, o które chodzi, należą prawnie do Prus, do Niemiec: nie można pozwalać na organizacye przeciwko prawnemu stanowi posiadania wymierzone. Do opieki państwa ma prawo tylko ten, kto porządek państwowy szanuje, tego zaś, kto drażni najgłębsze uczucia, czekać może tylko nieubłagana surowość. Nie wstrzyma nas, ministrów — ciągnął p. Bosse — ani sentymentalizm, ani ironia. Będziemy się trzymali wskazówki Flotwella z r. 1843: Uszanować właściwość narodową, ale bronić Niemców i zapewnić sobie niewzruszone posiadanie. Mówca nie przytoczył żadnego faktu, nie wyszedł z zakresu pojęć oderwanych, oskarżeń ogólnikowych, ale mimo to schwycił większość sejmową za serce: podziękowała mu hucznemi oklaskami, głuszącemi protestacyę posła, który wszczął był rozprawy.

Zakończyły się one dopiero nazajutrz, d. 21 stycznia. Poseł Czarliński przypomniał p. Bossemu opinię, jaka krążyła o nim w roku przeszłym, gdy podobnie jak teraz gwałtowny szturm przypuszczał. Mówiono wówczas, że szturmem chce sobie wzmocnić pękającą już podstawę swej władzy ministeryalnej. Czyby i teraz powtarzało się to samo? Jeżeli minister nie poprze oskarżeń dowodami, wystąpienie jego będzie oszczerstwem. Za to słowo wiceprezydent, Krause, wezwał mówcę do porządku; mówca się poddał i kończąc wyraził domysł, że chyba Tausch, lub inna jaka tego rodzaju kreatura była źródłem wiedzy p. Bossego. Tausch ma stosunki z komisarzami obwodowymi: tych znieść, a znikną podejrzenia.

P. Bosse na to miał drugą swą mowę; potwierdził w nie' oskarżenia z pierwszej. Agitacya trwa od r. 1893-go. Źródłem dla ministra są raporty władz i same dzienniki miejscowe. W dziennikach po rozprawach budżetowych znalazło się zdanie, jakoby przez ministrów powiedziane: „Paryami jesteście — paryami! Należałoby wam powyrywać języki.“ Cóż wobec tego? Codziennie nawołuje prasa do skupiania sił na chwilę stanowczą. Oto jak pojmują przynależność (*Zugehörigkeit*) do państwa — ci utyskujący. Dla obrony najświętszego dobra potrzeba jak największej czujności, jak najsurowszych środków. Wszyscy mają równe prawa; nie znamy „Prusaków drugiej klasy“ — kończył minister—byliśmy pojednawczymi, ale pojednawczości nie uznano. Na wdzięczność nie liczymy, bo wdzięczność obcą jest polityce. Działamy tylko przez poczucie — sprawiedliwości; ale wobec wichrzeń — nieugiętość!

I ta odpowiedź, i ta wieńcząca ją sprawiedliwość, podobała się również większości sejmowej. Po krótkiem zastrzeżeniu się posła Czarlińskiego — potok cały przepłynął, rozprawy się skończyły. Oświadczeniu ministra Bossego nadaje wyjątkowe znaczenie okoliczność, dziś już niewątpliwa, że zasady jego wytyczne uchwaliła sama rada ministrów.

Tydzień polityczny. Powołanie posła nadzwyczajnego w Kopenhadze, hrabiego Murawiewa, na stanowisko zarządzającego ministeryum spraw zagranicznych prasa europejska opatruje komentarzami, sprowadzającymi się do pewnika, że nowy minister jest i będzie miłośnikiem pokoju. Hr. Murawiew przed objęciem urzędu pojechał umyślnie do Paryża dla porozumienia się z tamtejszymi politykami. Spodziewano się go i w Berlinie.

Hr. Gołuchowski z Berlina wracając na Drezno do Wiednia, gdzie był już d. 22 b. m., zapewnił redaktora *Dresdener Neueste Nachrichten*, że odwiedziny jego w stolicy saskiej nie mają żadnego zgoła znaczenia politycznego. Pokrewność dynastyi wystarczyła do uprzejmości.

W sejmie niemieckim zażądano pozycyj taryfowych z umowami celnemi niezgodnych. Rząd aż musiał zapowiedzieć, że umowy z Rosyą niepokalanie dochowa. Nierogacizna z Królestwa znowu traci łaskę pruską: Hamerstein-Loxten, minister rolnictwa oznajmił zamknięcie dla niej granicy.

D. 22 b. m. Izba poselska w Wiedniu odbyła ostatnie swe posiedzenie. Rząd ją rozwiązał, wybory zarządził, nową na 27 marca zwołał. Przedtem uchwalono budżet.

Jedność stambulska nie może się wydobyć z wąwozu finansowego odrodzenia Turcyi. Obrady nad reformami w tym zamykały się obrębie. Oczywiście jest to sprawa dla bankierów ważniejsza, niż dla rządów, odrodzenie bowiem nie obejdzie się i bez nich i bez ich pieniędzy. Żandarmeryę na Krecie nareszcie przepchnięto: mogą być żandarmami Bulgarowie, Serbowie, Grecy. Organizacya postępuje. Sułtan miał d. 21 b. m. niewesołą rocznicę urodzin: lękał się wybuchu, ale przeżył dzień spokojnie, tylko bez humoru. Podnieca go sobie ciągłem skazywaniem młodoturków, którzy rozlepiają odezwy po mieście. Amnestya dla Ormian jest ciągle jeszcze niewykonaną w zupełności. Spory o biskupów skoplijskich niezałatwione; Grecy skaczą do oczu Serbom, Serbowie walą pięściami między oczy Greków: polityka narodowa kwitnie.

Od dziesięciu dni derwisze sudańscy otaczają Agordat w Abisynii, trzymany przez Włochów. Z początku było ich 12, potem 10, teraz jest już „na pewne“ 6 tysięcy. Załoga włoska nie dochodzi do czterech. Baldissera przed samem wystąpieniem Sudańczyków do Europy wyjechał. Napadu dotychczas nie było. Między Anglią, Włochami i Kongo stanął układ o współdziałanie wogóle przeciw Sudanowi. Anglicy na jesień przygotowują wielką wyprawę do Chartumu. Włosi szybko wysyłają posiłki. Izby włoskie zamknięte: dzięki temu nie ma burzy.

Na Filipinach powstanie się wzmogło.

Na Kubie było jakieś duże niby, ale bardzo mętnie wyglądające zwycięztwo powstańców.

Francya radzi nad czwartymi batalionami, nad nowemi działami, nowymi okrętami i ich uzbrojeniem. W Berlinie grożą tem samem (ale działa pocichu już podlewali). W Wiedniu *Fremdenblatt* wykazuje, jak dalece siła armii nie jest zastosowana do wzrostu ludności.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OCENA GOSPODARKI
w Orłowie i Sobieszynie.

Na tem miejscu podaliśmy we wrześniu roku przeszłego ogólną krytykę gospodarki w dobrach, zapisanych na cele publiczne przez hr. Kickiego. Krytyka nasza była bardzo łagodna, już chociażby z tego względu, że dotykając spraw zasadniczych, pominęła szczegóły. Niemniej jednak po naszem wystąpieniu zarówno zarząd Towarzystwa osad rolnych, pod którego skrzydłami pozostają te majątki, jak i sekcya rolna oceniły należycie potrzebę kontroli publicznej i wysłały komisyę w celu zrewidowania gospodarki. Mianowicie ze strony sekcyi wyruszyli ziemianie: pp. Stanisław Chełchowski, Franciszek Kuczyński i Marcin Mierzejewski; ze strony Rady zawiadującej: pp. Stanisław hr. Łubieński, Leon Przanowski i Stanisław Okęcki. Obecnie delegacya ta ogłosiła wyczerpujące sprawozdanie ze stanu gospodarstwa w Orłowie i Sobieszynie, napisane powściągliwie i spokojnie. Pod długim atoli szeregiem zarzutów można byłoby nietylko podpisać, lecz i zaostrzyć nasze uwagi, wypowiedziane we wrześniu. To, co znajdujemy w referacie, nie jest wprawdzie Panamą, ale bądź co bądź poważną sumą błędów ciężkich, przynoszących szkodę społeczeństwu. W imię zatem dobra powszechnego, wymagają one naprawy.

„Gdybyśmy się nie obawiali być posądzonymi o krańcowość w swych sądach— piszą bardzo oględni i powściągliwi delegaci o Sobieszynie — to należałoby przyznać, że dotąd stacya jest po macoszemu traktowana. Bo czem objaśnić można: w miejscowości zamieszkanej przez służbę i oddalonej od wsi o dwie wiorsty, brak jeszcze dotychczas chociażby lichej studni; dzięki temu przez pół dnia stale jeden koń i człowiek są zajęci dowożeniem wody; ile ztąd kosztów powstaje? Tak samo brak ogrodzenia na około budynków stacyjnych, chociaż drzewo zwalone na gromadę w tym celu leży na podwórzu — nie jest objawem troskliwości.“ Stodoła i śpichlerz, na jej strychu umieszczony, szczupłe i wadliwie zbudowane. Podłogi i ścianki z kruchego i nietrwałego drzewa; podłogi położone do czoła ze słabym zakładem; już teraz przez zeschnięcie rozchodzą się deski i świecą dziury, które przecież nie mogą się przyczynić do utrzymania zbóż w czystości. Dostrzegalnia meteorologiczna umieszczona w pała-

5)

NAPOLEON ROUBA.

TRYPTYK.

Dajże tu naszą szkatułkę— zwrócił się Jan do żony, nie spiesząc do obiadu.

Basia wydobyła z głębi szuflady małą szkatułkę drewnianą, starannie okrytą w liczne skręty grubego płótna i postawiła ją na kolanach męża, a sama usiadła obok niego na zydlu.

Była to skarbnica dorabiających się małżonków. Na wierzchu leżały dwie metryki chrzestne obojga i metryka ślubna, potem jeszcze panieńskie korale Basi i stary srebrny zegarek Jana, kupiony do ślubu, na samym zaś spodzie spory zwitek drobniejszych banknotów i kilka srebrnych rubli.

Jan wyjął z zanadrza nowiutki papierek dziesięciorublowy i starannie prostował go w palcach.

— Takiego tu jeszcze nie mieliśmy: dostałem go dziś za dwa tygodnie roboty odrazu.

Basia również zapragnęła popieścić palcami szeleszczący papierek.

Poczem oboje starannie policzyli swoje skarby.

— Sto dwadzieścia trzy ruble—z tryumfem powiedział Jan.

— Oddajmy do kasy — dodała Basia.

— A może lepiej kupić taki papier, jak to pokazywał jeden z naszych stron?

Zgodzili się na papier i postanowili jeszcze tegoż wieczora to zrobić, kiedy on wróci z roboty, a córka praczki sąsiadki będzie mogła zostać z Domkiem. Musieli przecież iść oboje.

Jan spojrzał na zegarek, posłuchał, czy idzie i nakręcił go uważnie. Później wyjął korale i przekładał je w dłoniach.

— Czemuż ty ich teraz nie nosisz?

— A na cóż mi korale? — odpowiedziała, pieszcząc męża spojrzeniem.

On ją objął ramionami, odgarnął z białej szyi ciemne sploty włosów i pocałował kilka razy głośno i serdecznie.

— Czy pamiętasz, Basiu?

Kobiecina spłonęła, jak róża, na to wspomnienie pierwszego pocałunku, który chwycił sobie ukradkiem Jan przed dwoma laty.

— Jedz-no już grochówkę, ostygnie — skarciła zalotnika.

On uznał słuszność tej rady i tak ochoczo zwinął się koło misy, że już wkrótce dno dojrzał; niemniej prędko załatwił się ze sporym kawałem wędzonki.

Z przyjemnem uczuciem sytości rozparł się po obiedzie na zydlu i śledził oczyma ruchy żony, która krzątała się, zbierając ze stołu.

— Basiu, chodź tu do mnie!

— Fajkę ci dać?

— Fajkę? Dobrze i fajkę, ale ja ciebie chcę.

— Obejdzie się, będziesz dokazywać i rozbudzisz chłopca.

— Basieńko, chodź! Zachowam się cichutko, jeno cię trochę popieszczę.

Przyszła po chwili, ociągając się i jakby mimochodem tylko.

On ją gwałtem przygarnął i posadził sobie na kolanach.

Przez długą chwilę trwali w namiętnym uścisku. Aż Basia porwała się i szukała czegoś... na odczepne. Ponownie otworzyła szkatułkę i przeglądała jej zawartość.

— Czy jeszcze nie odebrałeś od rządcy swojego dokumentu szlacheckiego?

— Nie, zapomniałem.

— To ja go poproszę, skoro tu przyjdzie.

— Dobrze, Basiu, schowaj dokument

cu, o dwie wiorsty od stacyi doświadczalnej, nie ma dla pól żadnego znaczenia. W tem ognisku prób tworzyć się muszą zbiory ziarna okazowego, próby zbóż w słomie, wzory ziemi, okazy szkodników, zbiory botaniczno-rolnicze, które stanowią muzeum nieodłączne od tego rodzaju stacyi. W Sobieszynie część zbiorów umieszczono w pokojach domku stacyjnego, inne, dla których miejsca zbrakło, leżą na strychu, reszta w szafach, w tej części pałacu, która jest wyłączona z pod opieki dyrektora instytucyi. Na zgromadzenie tych zbiorów rozproszonych nie znaleziono miejsca; tymczasem oranżerya, zapełniona starymi, niekształtnymi kwiatami, dużo kosztuje, a nic przynosi żadnych korzyści. Gdyby ten gmach odpowiednio przerobiono i urządzono, można byłoby tam muzeum umieścić, połączyć z pracownią botaniczną i biblioteką. Zapewne znalazłoby się wtedy miejsce i na laboratoryum chemiczne, obecnie umieszczone w ciasnej izbie. Grunty stacyjne na doświadczenia polne, nawozowe i szkółkę botaniczną są zbyt szczupłe i nie odpowiadają istotnej potrzebie. Mieszkanie dyrektora odległe o dwie wiorsty od pól doświadczalnych, co wielce utrudnia spostrzeżenia. Dla dobra ogółu rolników, pragnących odwiedzać stacyę, należałoby co rok ogłaszać terminy wycieczek, kiedy różnica wegetacyi najwidoczniej się uwydatnia. Dziś to ognisko prób i badań naukowych nie przynosi takich korzyści ogółowi, jakich należałoby oczekiwać przy właściwem urządzeniu. Stacya sobieszyńska kosztowała 40,244 rs.; lecz z tych dziesięciu lat jej istnienia, z powodu *niewłaściwego* wyboru miejsca na pola doświadczalne, dopiero ostatnie pięciolecie pracy dało pewne owoce.

Szkoła w Brzozowej, wzorowo i doskonale urządzona, pochłonęła 50,982 rs., nie licząc materyałów na budowle. Wobec takiej sumy poważnej, tysiąc rubli na kupno modeli rolniczych tudzież środków naukowych byłoby chyba drobnostką (o tych potrzebach wspominaliśmy we wrześniu). Na folwarku przy szkole inwentarz w dziale koni i bydła jest już dostateczny; ale brak owczarni i chlewni. Słuszne jest żądanie delegacyi, ażeby oddzielić 15—20 morgów ziemi i w myśl wymagań testatora założyć na nich gospodarstwo wzorowe, odpowiadające ogólnym i ekonomicznym warunkom ludu; bo przecież i szkoła powinna stać otworem dla dzieci chłopskich. Prowadzenie gospodarstwa na fermie włościańskiej można byłoby powierzyć uczniom trzeciego kursu, którzy w przyszłości nie będą oficyalistami, lecz na własnym kawałku ziemi mają gospodarować.

Ale pomijając to, co być powinno, musimy się przyjrzeć temu, co jest. Budowle sobieszyńskie znaleziono „w średnim stanie,“ szczególnie pomieszczenia dla koni i bydła są liche i zimne; czworak przy wjeździe do folwarku jest „obrazem nędzy i zniszczenia i źle świadczy o humanitarnym kierunku gospodarki.“ Nowowystawiona lodownia jest niepraktyczna i zbyt droga. Sama zwózka drzewa najętemi furmankami kosztowała 30 rs. 60 kop., tarcie i kloców 100 rs., oprócz innych wydatków. Ściany, z młodego drzewa, prędko pogniją.

Rachunkowość, zbadana na miejscu, „niejedno do życzenia pozostawia.“ W raporcie inwentarza np., zrobionym na przyjazd Rady, figuruje 26 koni, kiedy w dzienniku czynności i naprawdę jest ich 29. Kwit z otrzymanych w październiku za sprzedaż drzewa 66-ciu rs., nie był wciągnięty do wpływów kasowych, chociaż od tego czasu kasa dwa razy była zamykana i remanent dwa razy robiony. W dzienniku czynności, w którym są usprawiedliwione ostrzenia każdego lemiesza i robota każdego oraczyka, niema „specyfikacyi“ z najmu ogrodowego, który pochłonął znaczne sumy (350 rs. w ciągu czterech miesięcy). Zwraca szczególną uwagę także nadzwyczajny wydatek na najem furmanek, który od 1 lipca do 1 listopada wynosił 150 rs. (posyłanie po lekarza do Iwangrodu, po bryczkę do Lublina, zwózka zboża, drzewa opałowego do cegielni i dworu, drzewa na budowę itd.). „Wobec 16 koni, wołów i pracy, jaką w zimie ma folwark z koni stacyjnych, a w lecie powinien mieć z t. zw. wyjezdnych, kupionych za 400 rs., przy 400 m. ziemi ornej, cyfra ta jest wysoką.“ Szczegóły te tak wymownie ilustrują gospodarkę sobieszyńską, że wszelkie uwagi są zbyteczne.

W Orłowie stan zagospodarowania, budowli i inwentarza lepszy, niż w Sobieszynie, ale „do postępu pretensyi nie rości.“ „Deficytu z gospodarstwa rolnego, jaki od dwu lat istnieje przy 8,000—10,000 rs. stałych dochodów, nie można wobec tego pogodzić z kierunkiem ekstenzywnym gospodarstwa orłowskiego. O ile przy intensywności możnaby usprawiedliwić czasowo niedobory, o tyle przy obecnym systemie, łagodzących okoliczności w kierunku gospodarstwa znaleźć nie można.“

Przyczyn należy szukać gdzieindziej. Z melioracyj, na które wydano 53,509 rs., nie licząc materyałów w naturze, przeważną część pochłonęły budynki, bardzo porządne, lecz niektóre zbyteczne i wadliwe. „Przy restaurowaniu pałacu i oficyn należało je przeznaczyć nie wyłącznie dla opiekuna-administratora i kancelaryi dóbr, lecz z łatwością można było pomieścić w nich całą wyższą administracyę rolną i leśną Orłowa (rządcę, kasyera, nadleśnego). Zostałaby wtedy stajnia, na lokale przerobiona dla niższej administracyi i rzemieślników gospodarskich, a natomiast można byłoby rozmieścić służbę i komorników. Choć w części zapobiegłoby to niemoralnemu i nieuwzględniającemu najelementarniejszych potrzeb człowieka lokowaniu rodzin w jednej izbie.“

W Orłowie jednak, pomimo że testament kładzie nacisk nietylko na stronę materyalną, lecz i moralną ludu, umieszczono w taki sposób rodzin kilkanaście. Przy budowaniu domów nie uwzględniono wcale potrzeb służby. A jednak, dzięki kosztowności gospodarki w tym zakresie, melioracye budowlane obciążają każdą włókę ziemi użytkowej w stosunku 1,500 rs. Stacya poprawy inwentarza dla włościan, założona w kosztownym specyalnym budynku, jest dość zbytkownie pro-

---

i strzeż go jak oka w głowie, bo to cały skarb naszych synów w przyszłości. Ja go im muszę oddać, jak otrzymałem od ojca, który na to nie żałował kosztu i starań.

— Skądże już synów?

— A bo będą, muszą być, droga ty moja Basieńku — porwał się Jan ponownie do pieszczot.

— Cóż ty dziś, Janku, taki serdeczny i kochany? — dziwiła się Basia, oddając gorliwie uściski.

— Bo cię kocham, bo mi z tobą dobrze na świecie — mówił z przejęciem, wodząc wzrokiem naokoło.

Widok siekiery i piły, stojących w kącie, otrzeźwił go niespodziewanie i wnet postawił na nogi.

Ona wtedy z żalem patrzyła, jak zabierał się do wyjścia, a wreszcie zawisła mu na szyi, jakby chcąc go przykuć do siebie.

— Jaka ona dobra i kochana! — myślał sobie, spiesząc do czekającego pomocnika. Mądry byłem, że nie dałem się skusić widokiem strojnych panienek z miasta i natrętnem swataniem nieproszonych przyjaciółek. Ot i Józia także wykierowała się na panienkę, a do mnie, stróża, prawie nigdy nie zagląda. Ostrożnie, dziewczyno! Ja się też mogę wyrzec ciebie i to już na zawsze, skoro się jeno dowiem o czem niedobrem.

Rozbudził drzemiącego starca, który się dziwił, że Jan wrócił tak prędko.

Znowu stanęli do piły.

Stary ku wieczorowi coraz częściej prostował grzbiet, coraz tęskliwiej szukał w powietrzu, nad domami, oznak kończącego się dnia.

Aż przyszedł mrok.

— Do jutra, Janie! — powiedział na odchodnem.

— Przychodźcie tu prosto — odparł Jan.

Dla niego za krótkim był ten dzień listopadowy do pracy, więc zarwał wieczora już dobrze, zanim porąbał wszystkie pniaki i złożył drwa w składzie.

Ale i on rozgrzał się nareszcie po ukończonej robocie i tylko pomny na zalecenie żony, włożył kaftan i otulił się szalikiem od wilgoci wieczora. Jego członki jakby rozbujały w tej pracy dobrowolnej: w ramionach czuł silnie nabrzmiałe mięśnie, a nogi go niosły do domu, jakby na sprężynach.

Mżył drobny deszczyk. Na ulicach było mglisto, brudno i cuchnąco, a on myślą już witał swoją ciepłą i widną stancyę, wesołe twarze żony i dziecka.

Na chwilę tylko przystanął, aby kupić dla nich obwarzanków i już był przed bramą domu.

W korytarzu suterony, idąc po omacku, natrafił na jakieś sprzęty i potknął się.

— Co, u licha? To pewnie praczka swoje statki tu złożyła — mruknął z gniewem, ujmując za klamkę swoich drzwi.

Kiedy je otworzył, uderzył go widok obcych, nieznanych twarzy i cudzych, brudnych sprzętów.

Kolana pod nim zadygotały.

W tej chwili prawie upadła na niego Basia i łkając, mówiła żałośnie:

— Ooh, Janku, co z nami zrobili!.. Dom kupili Żydzi... wpadli tu przed wieczorem całą chmarą i kazali nam iść precz... Mnie z chłopcem przytuliła praczka... a rzeczy zwalili w korytarzu.. Komodę to tak porysowali!..

Drgnął Jan na te słowa tak silnie, aż trzasły nogi stołu, na którym się wspierał.

— Co, jak, dlaczego? — rzucał pytania zdławionym, urywanym głosem.

— Nie chcą nas i już przyjęli innego stróża, który zajął naszą stancyę.

— Idę do nich! — rzucił Jan.

— Janku drogi! Jasieńku najmilszy, już lepiej nie chodź! — błagała żona zwieszając się mu u ramion.

Wyjrzała praczka i obie z Basią wcią-

wadzona. Wogóle wadliwe jest urządzenie administracyi, służby i robocizny, któro nadzwyczaj dużo kosztują: w ostatnich latach 9,000 rs., i to z wyłączeniem służby, najmu ogrodowego i leśnego. Przy wielkich wydatkach pracownicy pożyteczni licho są płatni, skutkiem złej organizacyi, bo duże sumy pochłania służba p. opiekuna-administratora: kucharz, lokaj, praczka, dziewka dworska, foryś, szafarka czeladnia, baba kurna, chłop przy świniach itd. Kuchnia dworska i czeladnia w ostatnich latach kosztowały znaczne sumy, chociaż tylko 5—10 ludzi było na stole. Zużywano 80—120 korcy zboża, 25 korcy pośladów, 360 korcy kartofli, mleka od 12 krów, wszystek drób; trzoda chlewna i dopłata w gotowiznie za kupowane produkty wynosiły około 600 rs. rocznie. Tych olbrzymich kosztów można uniknąć, znosząc stałą rezydencyę p. opiekuna-administratora w Orłowie. Płodozmian Orłowa Murowanego odpowiada wymaganiom nauki i praktyki z przed dwudziestu laty! Produkcya zboża, na której folwarki się opierają, jest licha, pełna błędów elementarnych. Na Majdanie walące się domy, brak mieszkań dla ludzi.

Pomijając wiele innych wad i błędów, na które nam miejsca brak, podać musimy ogólne zdanie i wnioski delegacyi: „W całej dotychczasowej głównej administracyi majątkami po hr. Kickim widoczny jest brak fachowości i praktycznej znajomości gospodarstwa, które spowodowały w Orłowie błędy administracyjne i organizacyjne. Brak uznania oszczędności za najważniejszy czynnik w gospodarstwie doprowadził do niepomiernie wysokich wydatków na najem, kuchnię, kupno materyałów, niepotrzebne budowle. Stała obecność administratora-opiekuna w Orłowie znacznie podniosła koszty gospodarstwa i utrzymania dworu: jednocześnie wpływając krępująco na rządców, osłabiała w nich energię, zwalniała od odpowiedzialności moralnej, a prowadziła do zaniedbywania się i lekceważenia obowiązków."

Delegacya proponuje stale zamykać corocznie rachunki bez opóźnień, oddzielić zarząd szkoły od administracyi majątków i domów; dział rolny powierzyć fachowemu agronomowi; prowadzić fachową kontrolę gospodarki; w razie ostatecznym oddać Orłów w dzierżawę, gospodarstwo zaś w Sobieszynie i odebranym z dzierżawy Bliziocinie, postawić zgodnie z duchem testamentu na stopie wzorowej.

Tak więc obecna rewizya gospodarki będzie jej okresem przełomowym, bardzo ważnym dla dobra społecznego. Strat wielotysięcznych w ciągu długoletniej poprzedniej administracyi niczem pokryć już nie można; ale niechże one będą choć kosztowną, lecz dobrą nauką na przyszłość. Niech kontrola publiczna, wiedza fachowa i dobro, nie prywatne, lecz społeczne, stanie się główną zasadą nowej gospodarki.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań, 25 stycznia.

Środek ratunku. — Współzawodnicy na targowisku małżeńskiem. — Ruch sprzedaży dóbr ziemskich. — Zastój ekonomiczny. — Wykłady dla „urzędników gospodarczych."—Statystyka własności ziemskiej.— Izba rolnicza. — Spółka rolnicza zawodowa — Jałowość w dziedzinie wydawniczej. — Kumoszka Publicystyka. — *Przegląd Poznań ki.* — Wystawa obrazów. — „Stella." — Towarzystwo przyjaciół nauk.— Towarzystwo ornitologiczne — Teatr.

Widząc te rozbawione, „ogorzałe twarze" na sali balowej, te zdrowe i hoże córy, świetnie postrojone, można pomyśleć, że rozpromienienie i wesołość jest oznaką dobrobytu, siły materyalnej ziemiaństwa. Gdyby jednak zapuścić promienie Rontgena do ich szkatuły, wykazałyby one tam zupełną pustkę. Karnawał nie jest ani oznaką, ani potrzebą uciechy. Jest to jeden z rozpaczliwych środków ratunku za pomocą... posagu. Rolnicy okoliczni wiedzą dobrze, jakiem lekceważeniem i ironią witają ich wybladłe, przesycone mieszczuchy, jak pogardliwie mówią o tych „mało inteligentnych," tj. mniej niż oni zgrabnych w ruchach, mniej znających się na muzyce, teatrze i różnych miejscach wesołych. Niechęć wzrosła z chwilą, gdy żywioł ziemiański wszedł do salonów miejskich jako czynnik konkurencyjny na targowisku posażnych mieszczek, tj. łatwiej mogący upozorować swoje „stanowisko pewne i niezależne," niż niejeden biuralista, popychadło kantorowe. Z drugiej strony zawód łowców brukowych, którzy biorąc pannę wiejską, nie biorą czystej hypoteki i nic dostają nawet drobnej cząstki ze sprzedaży zadłużonej fortuny, zwiększa jeszcze bardziej niechęć do uczestników karnawału — właścicieli ziemskich.

Ich „pewne i niezależne stanowisko" staje się coraz mniej pewnem i niezależnem. Coraz więcej ucieka pracowników rolnych ze wsi do miasta, już nie na karnawał, lecz na stałe, ażeby obok kantorzystów zająć krzesła i stoliki, stać się równie jak oni „inteligentnymi," tj. gruntowniej poznać tajemnice i męty życia miejskiego.

Miarą niepowodzenia ekonomicznego i zastoju, jest ruch sprzedażny dóbr ziemskich, w którym wybitny udział biorą wszelkie instytucye działające, państwowe i prywatne. Kapitaliści pojedyńczy przybywają przeważnie z Berlina lub prowincyj zachodnich. Nabywcy prywatni walczyć muszą z coraz większemi przeszkodami ze strony władz państwowych; ale i kolonizacya rządowa niezbyt owocnie pracuje, gdyż jej energia znacznie osłabła skutkiem wielkich kosztów i kłopotów. Złe urodzaje przeszłoroczne, brak gotówki na rok bieżący — wszystko to nadwątliło jeszcze bardziej słabe podstawy rolnictwa i odbiło się ujemnie na ogólnych interesach ludności miejskiej i wiejskiej. Nie słabnie natomiast, lecz wzrasta działalność pożyczkodawcza, która, gdy przebierze miarę... procentów, wpadnie także w kłopoty.

Ziemianie, bogaci w doświadczenia i przykłady, nie tracą jednak nadziei, że dobra i rozumna gospodarka może być do pewnego stopnia dźwignią rolnictwa, więc podczas karnawału biężącego uczą „urzędników gospodarczych," jak gospodarować należy, tj. urządzili dla nich szereg wykładów z rozmaitych gałęzi rolnictwa. Jest to znamienne i powszechnie u nas znane zjawisko, że ci, którzy sami popełnili grube błędy i wyzuli się skutkiem tego z mienia, uczą następnie innych i z katedry lub szpalt dziennikarskich starają się ratować upadające ziemiaństwo. Prawda, że śród prelegentów są mocno stojący na własnej ziemi, ale podobno wezmą udział i tacy, którzy dopiero na bruku miejskim nauczyli się gospodarować

---

gnęły olbrzyma do sąsiedniej sutereny, wypełnionej parą i wyziewami mydlin.

Odebrały mu tutaj piłę, siekierę i posadziły na ławie.

— Niech się pan Jan uspokoi i nie bierze tak tego do serca—tłómaczyła praczka.

Basia już myślała o posiłku.

— Nie mogłam ci ugotować wieczerzy, ale mam jeszcze ser i masło, te od Kazika, zrobię herbaty, to się posilisz.

— A Domek? — spytał Jan po chwili głuchym głosem.

— Śpi, kaszlał trochę i jest rozpalony, może się przeziębił...

— Jan zacisnął dłonie, aż stawy zatrzeszczały i powstał z miejsca.

— Dokąd ty, Janku? — wnet przypadła żona.

— Przestańże — rzucił jej gniewnie.

Kobiecina stanęła we łzach.

— Widzisz przecie, żem już spokojny; więc pójdę, zapytam... Może poproszę — dodał po chwili już spokojniej i wyszedł.

Dobrowolnie skierował się do drzwi, przez które wołano go tyle razy, kusząc datkiem, a on zawsze oparł się temu wołaniu.

Wszedł do kuchni, gdzie znalazł kilku Żydów i Żydówkę.

Czy gospodarz jest w domu? Chciałbym go widzieć.

A oni wszyscy kpili sobie z niego i śmieli się dowoli, przypominając sprawy z przeszłości.

Jan to zniósł cierpliwie, aż wreszcie jedna z Żydówek, rozbrojona jego pokorą, poszła po Szlomę.

Wszedł tłusty, czarny Żyd w rozpiętym chałacie i pantoflach.

— No, czego ty jeszcze chcesz odo mnie?

— Przyszedłem zapytać, co będzie ze mną. Wszak to teraz zima, czyż godzi się wyrzucać człowieka z żoną i dzieckiem na bruk, nie dając mu nawet czasu, ażeby mógł sobie drugiego miejsca poszukać?

Szloma patrzał na stróża z ironicznym uśmiechem i w swoim żargonie coś mówił do swoich.

Jan postąpił parę kroków i zgiął kark do pokornego ukłonu.

— Ja bardzo proszę... pana o wzgląd na nas. Niech ten nowy stróż tymczasem zamieszka w drugiej, pustej suterenie... choćby na parę tygodni...

Chór Żydów odezwał się śmiechem szyderskim, a pan Szloma wyszedł z kuchni, rzucając rozkaz:

— Zaczekaj.

W Jana wstąpiła otucha i w duchu rad był z siebie, że zdołał zapanować nad gniewem, który chwilami go dusił.

Szloma wrócił, trzymając zwinięty papier w ręku.

— No, masz, to twój dokument szlachecki! Ja ciebie już dawno znam, co ty za jeden, ja ciebie wypędzam dziś zaraz... pójdź won, ty głupi szlachcic!..

I przy tych słowach cisnął na ziemię, w błoto papier trzymany.

Wrzask śmiechu obecnych towarzyszył tym słowom, ale wnet ustał...

Człowiek-zwierzę jednym susem przypadł do żyda i schwycił go obu rękami za piersi, wstrząsnął ze straszną siłą i jednym rozmachem rzucił o piec... Głuche, tępe uderzenie rozległo się wyraźnie, poczem Szloma, nie wydając głosu, zwalił się na ziemię.

— Gwałtu! rozbój! — krzyknęli świadkowie tej sceny, wybiegając przez troje drzwi w różne strony.

Jan popatrzył przez chwilę wzrokiem osłupiałym i machinalnie podniósłszy zgnieciony papier, poszedł do sutereny.

Obie kobiety były przerażone.

— Janku, co tobie?

— Pan pewno chory?

Był śmiertelnie blady i ledwie trzymał się na nogach.

i w imię dobra powszechnego innych będą oświecać.

Statystyka podaje ciekawe cyfry, dotyczące własności ziemskiej, chociaż co do klasyfikacyi niezupełnie ścisłe; nie uwzględnia bowiem strat, poniesionych w roku przeszłym i do rodzin polskich zalicza zupełnie zniemczonych, których nazwiska tylko brzmią po polsku. W r. 1896 przestrzeń ziemi w rękach polskich obejmowała ogółem 2,350,900 morgów, w niemieckich—4,372,912 morgów magdeburskich. Polska własność ziemska rozpada się na następujące kategorye: 20,551 morgów w posiadaniu polskich banków parcelacyjnych, 1,735,570 mor. należących do 54 rodzin, z których każda posiada przeszło 10,000 mor.; 246,120 w rękach 34 rodzin po 5,000—10,000; 323,556 m. w rękach 115 rodzin po 1,000—5,000; 21,602 m. w rękach rodzin, posiadających mniej niż po 1,000 morgów. Większa własność prywatna niemiecka obejmuje 3,093,641 mor. Majoraty 467,840, dobra skarbowe 777,311 m., dobra należące do różnych instytucyj niemieckich 44,115 morgów. Obszar dóbr kościelnych wynosi 58,360 m.

Mniejsza własność ziemska w W. Ks. Poznańskiem obejmuje 4,489,437 morgów. Z tego w posiadaniu Polaków pozostaje 2,992,955 mor., Niemców — 1,496,479 m. Ogółem tedy w całem W. Ks. Poznańskiem własność polska obejmuje 5,411,716 m., niemiecka — 5,869,341 mor. Z rodzin polskich największe dobra posiadają Skórzewscy, 101,361 m., Mielżyńscy 81,665 m., Radziwiłłowie 80,564 m., Żółtowscy 78,584 m., Kwileccy 73,354 m., Czarneccy 67,243 m., Sułkowscy 56,867 m.

Ci wszyscy wyliczeni i wiele jeszcze innych zamożnych rodzin ziemiańskich, stoją na trwałych podstawach i jeżeli sprzedadzą swoje fortuny, to chyba nie z potrzeby. Należy pamiętać o tem, że nietylko siła ekonomiczna, lecz i moralna daje rękojmię utrzymania własności ziemskiej w rękach polskich. Taką siłę moralną można znaleźć śród pewnej kategoryi własności drobnej. Do sprzedaży ziemi właścicieli tych zmusza tylko ostateczna ruina materyalna, na którą składa się wiele ogólnych czynników społecznych i ekonomicznych.

Izba rolnicza dla W. Ks. Poznańskiego wydała niedawno okólnik, który obala wszelkie przypuszczenia, że służyć ona zamierza *wyłącznie* interesom wielkiej własności ziemskiej. Oto brzmienie tej odezwy: „Z subwencyi państwowej dla drobnych właścicieli ziemskich, przeznaczonej na melioracye, jak na odwodnianie, nawodnianie, kulturę łąk, urządzanie praktycznych gnojowni itd., pozostały jeszcze fundusze w zapasie. Prosimy zatem członków Izby, ażeby zwracali na tę okoliczność uwagę włościan i nakłaniali ich do stawiania odpowiednich wniosków. Zapomogi dawane bywają stosownie do warunków, albo jako datki jednorazowe, albo jako pożyczki bezprocentowe z wypłatą jednorazową, albo na trzy raty rozłożoną. Szczególnie należy nakłaniać włościan do urządzania racyonalnych gnojowni, z tem nadmienieniem, że Izba stosownie do rozporządzenia ministeryum, prośbę o zapomogi na urządzanie racyonalnych gnojowni, według możności uwzględniać będzie."

Do działalności społeczno-rolniczej należy dorzucić jeszcze słów kilka o poznańskiej spółce rolniczej zawodowej. Liczyła ona w r. 1895 ogółem 111,557 członków, którzy wnieśli 2,167,896 marek. Suma wypłaconych robotnikom wynagrodzeń uczyniła 377,632 m.; koszty administracyjne 112,148 m. Przyznano wynagrodzenia w 1,516 wypadkach. Utraciło życie skutkiem nieszczęśliwych wypadków 101 osób; niezdolnych do pracy stało się 1,055. Rentę starości otrzymywały r. 1895 ogółem 5,263 osoby. Sądy polubowne spółki rozpatrzyły 733 sprawy.

Bądź co bądź działalność ta świadczy o pewnym ruchu w zakresie pomocy ludziom spracowanym i zniedołężniałym. Świadczy zarazem o znacznej liczbie wypadków, których przecież pomoc pieniężna nie zażegna. Spółka nie powinna poprzestawać na udzielaniu wynagrodzeń, lecz także rozwinąć działalność, która skłoniłaby zarobkodawców do wprowadzania urządzeń i zarządzeń, zapobiegających wypadkom nieszczęśliwym. Każdy robotnik woli mieć całe ręce i nogi, silne zdrowie, niż wynagrodzenie materyalne, przyznane mu, jako niedołędze. Działalność zapobiegawcza w tej mierze przyniosłaby wiele korzyści dla społeczeństwa, a zarazem wzmocniłaby fundusze spółki przez zmniejszenie liczby wypadków nieszczęśliwych.

W roku ubiegłym zastój i jałowość były cechą nietylko życia ekonomicznego, lecz i duchowego. Ruch wydawniczy raził niesłychanym brakiem książek pożytecznych i cennych. Natomiast kumoszka Publicystyka, posiadająca wprawny i długi język, nie żałowała go i napracowała się przez rok cały rzetelnie. Do tego wielkiego i wiecznie czynnego młyna wpadały ziarna drobne i lekkie; to też chleba z owej mąki ogół miał niewiele, ale za to plewami obficie był zasypywany.

Zniknął z powierzchni tego świata *Przegląd Poznański*, po dwu i pół latach istnienia. Znalazł on dla siebie grunt bardzo nieodpowiedni, bo niechęć prasy i znacznej części ogółu, w którym nie brak było jednostek, wypowiadających fanatyczną, ślepą nienawiść dla pisma. Nawet i dziś znęcają się one niemiłosiernie nad nieboszczykiem. Niech mu lekka będzie ta ślina jadowita i błoto obficie na jego grób rzucano.

Właściciel wędrownej wystawy artystycznej, p. Schafranek z Hamburga, urządził w Poznaniu dość bogatą wystawę malarzy niemieckich, francuskich i włoskich; nadto nadejdą wkrótce płótna artystów polskich. Dla zachęty publiczności przedsiębiorca obiecuje między innymi pokazać Siemiradzkiego, Ajdukiewicza itd.

Do lata jeszcze daleko, ale Towarzystwo „Stella" korzysta z czasu i stara się ciągle powiększać fundusze na rzecz kolonij letnich dla dzieci szkolnych. Dn. 15 b. m. w sali bazarowej dr. Drobnik wygłosił odczyt o znaczeniu hygienicznem kolonij letnich. „Stella" obchodziła niedawno 24-tą rocznicę swego istnienia. Instytucya ta cieszy się uznaniem ogółu.

Poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk zwołało przed kilku dniami walne i bardzo liczne zebranie, na które przybyli nietylko członkowie miejscowi, lecz i okoliczni. Na miejsce prof. d-ra Bolesława Wicherkiewicza, obecnie profesora wszechnicy Jagiellońskiej, obrano wiceprezesem ekonomistę i byłego posła, d-ra Witolda Skarzyńskiego ze Spławia. Zbiory Towarzystwa wzbogaciły się w roku ubiegłym cennymi darami. Do biblioteki, obejmującej ogółem 40,117 dzieł, przybyło 1,750 numerów, do zbioru rękopisów — 75; dokumentów dyplomatycznych 8, obrazów 4, do zbioru pamiątek historycznych 30, do gabinetu numizmatycznego 45, pieczęci 2, rycin 16, do gabinetu archeologicznego 142, wreszcie do muzeum przyrodniczego 35.

Z ruchu stowarzyszeń zaznaczyć wreszcie musimy, że poznańskie Towarzystwo ornitologiczne urządza pocztę gołębią pomiędzy Poznaniem, Toruniem i Królewcem. Niemiecki związek ornitologiczny darował tej instytucyi odpowiednią liczbę gołębi.

Teatr miejscowy, przez długi czas nieodpowiadający najskromniejszym wymaganiom publiczności, stanął nareszcie na

---

Basia podała kubek herbaty, a praczka zimną wodę; odsunął jedno i drugie i siedział z głową wspartą na dłonie.

— Jasku mój najmilszy, co się stało?

— Sponiewierał mnie Żyd jeno, a ja nie strzymałem i rzuciłem go o ziemię — wreszcie wyszeptał.

— Dobrze tak Żydowi! — pochwaliła praczka.

— Żeby tylko nowej biedy nie było — z westchnieniem ciężkiem dodała Basia.

Z podwórza, od bramy, dolatywały ciągle słabe odgłosy pojedyńczych krzyków.

— Pewnie zemdlał, to go tak cucą — objaśniła praczka. — Trzeba i mnie będzie obejrzeć się za mieszkaniem, bo tu trudno wytrzymać.

Jan podniósł głowę, jakby trochę uspokojony.

— Trzeba będzie w kozie odsiedzieć z miesiąc, albo i więcej — zwrócił się do żony.

A jej wtedy przyszło na myśl, że nie będzie zarobku, a większe wydatki, więc rozejdą się te oszczędności, za które mieli dziś właśnie nabyć taki papier, jak u Bruszkiewicza.

Odgłosy z podwórza nagle zaczęły się wzmagać i jakby przybliżać. Basia pobladła i stanęła bliziutko przy mężu. Czuła wtedy drżenie jego atletycznej postaci.

Zmieszany chór wrzasków i jakby lamentów biegł już zupełnie wyraźnie i wprost do nich. Na wschodach i w korytarzu sutereny słychać było ciężkie stąpania, potykania się o sprzęty i energiczne przekleństwa.

Jan powstał, usunął łagodnie zastępującą mu drogę Basię i otworzył drzwi dla przyjęcia policyi.

— Ty stróż domu? Ty zabił człowieka!

— Janku, mój Janku! — krzyknęła Basia i padła martwa u nóg olbrzyma.

On chwycił czapkę, nacisnął na oczy i szeptem błagał dozorcę:

— Panie, chodźmy już prędzej...

* * *

W sali sądowej pełno widzów.

Na ławie oskarżonych siedzi morderca, Jan Garbiel. Przez kilka miesięcy więzienia wychudł okropnie i zczerniał jak ziemia.

Żołnierze muszą go podtrzymywać, gdyż nie może ustać podczas krótkiego badania.

Odpowiada tylko skinieniem głowy, nie podnosząc oczu.

Młody adwokat, we fraku i z teką pod pachą, obrońca z urzędu, widzi go tu po raz pierwszy i doznaje niemiłego uczucia. Zdawało mu się, że sprawa jest jasna, że nie potrzebował widzieć tego człowieka podczas pobytu w więzieniu — protokóły sędziego śledczego były aż nadto wystarczające nawet dla przygotowania obrony, opartej jedynie na przytoczeniu łagodzących okoliczności.

Badanie świadków było potrzebne tylko dla stwierdzenia wypadków pobocznych.

Dano ostatnie słowo oskarżonemu.

Powstał, chwiejąc się, oparty na ramionach żołnierzy i... odpowiedział głośnym, nieludzkim płaczem, prędzej do ryku podobnym.

Sędziowie przysięgli wyszli i wrócili po kwadransie z orzeczeniem, na mocy którego sąd skazał Jana Garbiela za przypadkowe zabójstwo na dwa lata więzienia i pokutę kościelną.

Twarz olbrzyma po odczytaniu wyroku zdradzała ciche poddanie się i jakby słabe błyski radości...

Już wiedział, co go czeka, i mógł liczyć, choć długie i męczące, ale określone dni i godziny... pokuty.

(D. c. n.).

lepszym gruncie, dzięki temu, iż przeszedł w ręce przedsiębiorcy, artystycznie ukształconego. Czy to jednak zapewni mu trwałe powodzenie, trudno jeszcze dziś sądzić. Bądź co bądź teatr ten nie stanie na poziomie sceny pierwszorzędnej. Tak zwana „drużyna" aktorska złożona jest przeważnie z sił młodych. Personel męzki, oprócz dyrektora, Rygiera, nie może rościć pretensyi do doskonałości. Natomiast siły niewieście są lepsze.

ét.

ANTISEMITYZM I ŻYDZI*).

I.

Jesteśmy obecnie świadkami dziwnego zjawiska: mianowicie obok wciąż rozwijających się pojęć humanitarnych, obok współczucia dla prześladowanych, obok tolerancyi religijnej i przekonaniowej zarówno u nas, jak za granicą wstręt do Żydów nietylko nie słabnie, lecz owszem potężnieje, przybierając coraz wyraźniej określone formy, cele i programy.

Dziwnym na pozór wydawać się może fakt, iż hasła antisemityzmu zaczynają wygłaszać najabsolutniej nie klerykały, nie partye arystokratyczne, lecz przeciwnie to, co jest w każdem społeczeństwie najmłodszego, najradykalniejszego, wypowiada walkę Żydowstwu.

U nas, chociaż ruch ten w otwartą walkę zmienić się nie może, chociaż nie został ujęty w żadne programy partyjne, jednakże uwydatnił się już dostatecznie, aby go scharakteryzować, zbadać właściwe jego cele i środki. Jakkolwiek oddziaływa on na życie społeczne daleko słabiej, niż gdzieindziej, wszelako dąży zarówno świadomie, jak nieświadomie ku pewnym reformom. Otóż zadaniem naszem jest wykazać te właśnie zmiany, których potrzeba wpływa na rozwój antisemityzmu—postępowego.

Niemal każdy myślący człowiek zastanawiał się niejednokrotnie nad pytaniami: czem jest kwestya żydowska, czem są u nas Żydzi, jakie przyczyny sprowadzają ich wyodrębnienie, nienawiść ku nim, czy prześladowanie Żydowstwa licuje z dążeniami ku umoralnieniu ludzkości?

Były już chwile w życiu naszego społeczeństwa, stawiające te zagadnienia na tle bardziej ogólnem; były momenty wysiłków celem zasypania dzielącej Żydów od reszty współobywateli przepaści, tak z jednej, jak z drugiej strony czyniono już niejednokrotnie próby wzajemnego porozumienia się. Wysiłki, powiadam, były; i trzeba nie chcieć widzieć, aby nie dojrzeć, że pozostawiły one ślady. Jeżeli przepaści zasypać nie zdołano, to w każdym razie położono na niej mosty, które dziś mają już swą historyę.

Wyśmiewany obecnie program asymilatorów miał swoje chwile napięcia ideowego, był niegdyś żywotnym, pełnym zapału, wiary w skuteczność dróg swoich, a podniesienie kulturalne inteligencyi żydowskiej tylko jemu zawdzięczać należy. Pionierzy tego ruchu pochodzili wyłącznie z ciemnej, zacofanej masy; ale były to osobniki śmiałe, młode, żądne światła. Wydzierały się z całym zapałem pętom konserwatyzmu, bratały się z tymi, którym tradycye nie stawały na drodze do postępu tak despotycznie, jak odwieczne przesądy Żydowstwa. Wśród ruchu tego widzimy ludzi prawie pełnoletnich, uczących się abecadła łacińskiego, ludzi, na których ślady pejsów jeszcze widniały, wstępujących do szkół publicznych, z zapałem podających dłoń swemu nowemu otoczeniu, a z współczuciem zwracających się do mas, z których wyszli. U wielu był to objaw chwilowego, młodego porywu, lecz byli i tacy, którzy idei swojej życie całe poświęcili. Tłómaczono więc na język polski modlitewniki hebrajskie, układano słowniki, opisywano po polsku historyę Izraela, zakładano szkoły. Najgłośniejsza z nich t. zw. szkoła rabinów nietylko zyskała rozgłos wzorowego zakładu naukowego, nietylko dała możność poważnej liczbie młodzieży żydowskiej przedostania się do wyższych zakładów naukowych, ale zpośród swych wychowańców zrodziła garstkę ludzi, przynoszących zaszczyt — nie Izraelowi, ale społeczeństwu całemu.

Zdawało się wówczas, że mosty zbudowano silne, że przejście po nich winno być kwestyą czasu. Wkrótce po wszystkich warstwach społecznych powiał silny duch braterstwa. Już nietylko Żyd wyciągał dłoń do obcych sobie dotąd współziomków, lecz i ci o dawnych uprzedzeniach względem innowiercy zapomnieć chcieli. Uczyniono wówczas krok pierwszy ku zgodzie i odtąd można datować dalsze obustronne wysiłki. Literatura zwróciła na Żydów uwagę. Ukazały się wśród niej głosy, uznające w nich ludzi, nie kastę, brzydzące się nietolerancyą religijną. Żywioły młode, postępowe, poczęły ośmielać i bratać się z młodą inteligencyą żydowską. Małżeństwa mieszane przestały być zjawiskami nieprawdopodobnemi, budzącemi osłupienie i zgrozę. Wśród inteligencyi nastąpiło niemal zupełne porozumienie... ale tylko wśród inteligencyi i to postępowej. Ciemna masa pozostała ciemną masą. Wydzielono z niej to, co miała najlepszego, stworzono przystań dla wydzielających się w dalszym ciągu jednostek najdoskonalszych, ale całość pozostawiono dalej w jej odwiecznej ciemnocie i niemocy.

Za prawdziwą inteligencyą żydowską poszła jej parodya, pociągnięta modą lub przykładami szacunku i tolerancyi, jaki otaczał pierwszych.

Potentaci wyzysku, karyerowicze umysłowi itp. zaczęli obcinać pejsy i chałaty, chrzcić się nawet i utworzyli pseudo-inteligencyę, a raczej burżuazyę pozornie zasymilowaną, pozornie uspołecznioną, a na dnie duszy noszącą wszystkie wady i śmieszności Żydowstwa, wszelkie szkodliwe dla ogółu instynkty. Warstwa ta w miarę rozrastania się zaczęła otaczać i wchłaniać garstkę rzeczywiście podniesionych i uczyniła ją dla wzroku tłumu niedostrzegalną.

Małżeństwa mieszane, dające ongi wyraz jedności ideałów i przekonań, stały się formą, świadczącą o „postępie," a później geszeftem herbowym. Uprawiała je filisterya wszelkiego rodzaju i ośmieszyła w oczach ogółu. Pobudki, skłaniające pierwotnie do obcinania pejsów i chałatów, przekształciły się w dalszym ciągu na zacieranie pochodzenia, na wstyd i odwracanie się od wszystkiego, co żydowskie, brudne, ciemne, nieszczęśliwe. A nie wywoływał tego wstręt dla wad Żydowstwa, lecz to jedynie, że je prześladował ogół. Chrzest wreszcie przestał być wyrazem przekonań religijnych lub społecznych, a stał się manewrem, zwalniającym od wszelkich obowiązków publicznych, od wszelkiej solidarności z byłymi braćmi, niezasłużonem unikaniem pogardy, wreszcie interesem pieniężnym.

Dziwić się nawet nie można, że w miarę tak skierowanego postępu rozwijał się i wkraczał do literatury antisemityzm tłumu, szczujący, szykanujący, bezlitośny i niesprawiedliwy względem jednostek.

Lecz jednostki nawet o wybitnych zaletach istniały i istnieją. Błądzą one dziś luźnie, nie posiadając ani programu, ani celu realnego; wreszcie trudno je dostrzedz poza wrzaskliwą filantropią żydowską, która oślepia obfitością i jaskrawością złota, ciskanego bezustannie na ołtarz nędzy zawsze jednak głodnej, ciemnej i występnej.

Te osobniki wybitniejsze odnaleźć można zarówno wśród potomków i następców dawnych asymilatorów, jak pomiędzy dziećmi brudnego motłochu, który je rodzi bezustannie. Pierwsi, reprezentując i nie wypierając się swego Żydowstwa, dążą często z zaślepieniem do wywalczenia tolerancyi, w ich mniemaniu, dla ogółu, ale walczą jedynie dla jednostki, gdyż wychowaniem i przekonaniami zostali już zbyt daleko odrzuceni od swej macierzy. Drudzy, widząc bankructwo idei asymilacyjnej, pracują zawzięcie dla narodowości żydowskiej: tworzą i wzbogacają literaturę żargonową, a widząc różnice pomiędzy położeniem żydowstwa i ludności rdzennej, oraz niechęć tej ostatniej, marzą o emigracyi i wytworzeniu narodu, przyjmują wrogo każde zbliżenie, uważając je za odstępstwo i zdradę, a starają się tylko tymczasowo przystosować tłum do warunków, które dziś gniotą go ze wszech stron.

Jedni i drudzy wszakże posiadają pewną cechę wspólną: namiętne ukrywanie prawdy już nietylko przed obcymi, ale nawet przed ogółem żydowskim. Nie uznają wad żadnych, a najdrobniejszą zaletę rozdmuchują do śmieszności. Schlebianie wszystkim warstwom stanowi jedyną ich metodę i zmusza do chwalenia często przewrotności jaskrawych.

(C. d. n.).

Benedykt Hertz.

*) Według nas, artykuł ten nie sięga do dna sprawy, ale zamieszczamy go, gdyż zawiera wiele spostrzeżeń trafnych i godnych uwagi. *Red.*

LIBERUM VETO.

Panorama Golgoty.

Patrząc w najdalszą przyszłość, nie możemy wyobrazić sobie takiego stanu ludzkości, w którymby Chrystus nie budził głębokiej czci, a tragedya jego męki — wstrząsającego współczucia. Bo trudno pomyśleć, ażeby ta ludzkość zobojętniała kiedykolwiek na promienie nauki Jezusa i na okropność śmierci, którą za nią poniósł. Tylko bardzo płytkie umysły sądzić mogą, że wspaniała gwiazda, która przed 29 wiekami zabłysła w Judei, jedynie przypadkowi zawdzięcza, iż tak szeroko rozpostarła swą jasność, dotąd nie zgasła, a może wiecznie przyświecać będzie człowieczeństwu w jego wędrówce po krętych i ciemnych drogach. Chrystus nie założył sekty religijnej, to znaczy, nie splótł w system wierzeń, przesądów, interesów i pragnień pewnego miejsca i czasu, lecz stał się głosem uczuć powszechnych i wiekuistych. On nie otworzył własnego jedynie serca, ani serca swego narodu, lecz wyjął serce z piersi rodu ludzkiego, położył je na przeczystej dłoni, pokazał jego rany, ucałował je i dotknięciem kochających ust zabliźnił. Umiłowanie wszystkich i przebaczenie wszystkim, związanie całej rodziny człowieczej węzłami braterstwa, zupełne zrównanie jej członków wobec prawa i obowiązku, wygnanie z życia obłudy, nienawiści i okrucieństwa, przeniesienie jego celów ze świata niskich żądz w świat najwyższych ideałów, otoczenie anielskiemi skrzydłami ubóstwa i wszelkiej maluczkości — to są idee, które nietylko przed 2,000 lat, nietylko dziś, ale zawsze będą drogowskazami najmniejszego i największego człowieka. Nigdy przedtem, ani po tem nie zjawiła się na ziemi istota tak dobra, tak czuła, tak wolna od pobudek samolubnych, tak roztapiająca swe myśli i uczucia w szczęściu bliźnich. Za jedno z dwu najwyższych przykazań uznał

Chrystus: miłuj bliźniego twego, jak siebie samego. „Większego przykazania — dodaje — nad to niemasz.“ Nikt też nie zdobył równie słusznego prawa nazywania się „synem bożym.“ Ewangieliści opowiadają, że gdy razu pewnego matka i bracia stanęli przed domem, gdzie Jezus nauczał, zawiadomiony o tem, „wyciągnął rękę swoją na ucznie swoje i rzekł: Oto matka moja i bracia moi. Albowiem ktobykolwiek czynił wolę ojca mojego, który jest w niebiesiech, ten jest bratem moim, i siostrą i matką.“

Jeżeli miłość bliźniego ma być najświętszą formą i najważniejszą regułą życia, to któż powinien być głównym jej przedmiotem? Naturalnie nieszczęśliwi, biedni, wydziedziczeni, skruszeni grzesznicy, wszyscy, którzy posiadają najmniej a cierpią najwięcej. I rzeczywiście ku nim zwróciło się przedewszystkiem serce Chrystusa, uderzające wobec każdej niedoli tonem dziwnej szlachetności. A ponieważ ta niedola stanowiła zawsze w świecie bezmierny ocean, z którego wynurzały się tylko małe stosunkowo wysepki szczęścia, więc też nauka Jezusa, niewyczerpane źródło powszechnej miłości, musiała rozlać się szeroko, jest dotąd i będzie zawsze czystą krynicą najpodnioślejszych zasad i natchnień. Bunty, opory, protesty, które wybuchały przeciwko niej w dziejach, nie powstawały przeciwko niej prawdziwej, ale przeciwko sfałszowanej. Zarówno pobożny chrześcianin, jak rozumny innowierca, wyznawca Mojżesza lub Mahometa, zarówno ateusz, jak filozof i poeta, Tomasz z Akwinu lub Mill, Tasso lub Shelley — patrzał i patrzeć będzie na ukrzyżowanego Chrystusa z głębokiem wzruszeniem; a jeżeli uczuje żal albo niechęć, to nie dla Mistrza, ale dla przewrotnych uczniów, którzy nadużyli czcigodnego imienia i zmącili czysty zdrój ochrzczonej niem wiary i moralności. Zaiste, szatan historyi dla dogodzenia swej ironii sprawił, że łagodny „baranek boży,“ który chciał „zgładzić grzechy świata,“ że „syn człowieczy,“ który miłością usiłował spoić zwaśnioną ludzkość, że orędownik ubóstwa, który mu zapewnił „królestwo niebieskie“ — częstokroć mianowany był i jest patronem nienawiści, gwałtu, rozbestwienia i zbytku. Na krzyżu zawisło serce dobroci i miłosierdzia pełne, a wobec krzyża dzieją się okrucieństwa i zdrożności serc kamiennych. One to, a nie Jezus, są przedmiotem zgrozy i buntu.

Każda epoka dziejów chrześciaństwa widziała w jego świątyni faryzeuszów, starała się ich z niej wygnać i wskrzesić prawdziwy a przez nich sfałszowany jej zakon. Ta dążność objawia się również w naszych czasach i dlatego tragedya Golgoty nabrała znowu żywego znaczenia.

Możemy ją od kilku dni oglądać w panoramowym obrazie p. Styki. Naturalnie malarz nie mógł nam ukazać jej treści wewnętrznej, lecz tylko przedstawić formę zewnętrzną; uwidocznienie jednak wielkiej i tak doniosłej w swych skutkach; chwili przypomina wszystko to, co z nią się związało, co z niej się wysnuło i do naszych czasów sięga. Jakże artysta spełnił swoje śmiałe i trudne zadanie? Wogóle — szczęśliwie, chociaż nie tak bezwzględnie, jak mu bezkrytyczna chwalba przyznała. P. Styka zwiedził miejsca pobytu i męczeństwa Chrystusa, więc odtworzył ich widok prawdopodobnie wiernie a niewątpliwie pięknie. Jerozolima i jej okolice roztaczają się przed nami bardzo wyraźnie. Masa figur, zgromadzonych na „górze czaszek,“ zawiera wiele odmian, typów, urozmaiceń w wyrazie twarzy i stroju. Stoją one w grupach: członków Sanhedrynu, oprawców, wojska, niewiast, mężczyzn, a wreszcie długiego potoku tłumów, płynących z miasta ku Golgocie dla obejrzenia widowiska. Z tych grup artysta wyosobnił lub wysunął na czoło kilka postaci: Szawła, Józefa z Arymatei, Anasza i Kaifasza, Jana, Matkę Jezusową, Piotra, dwu zbrodniarzy i w środku stojącego Chrystusa. Zarówno w wyborze figur, jak w ich rozmieszczeniu nie trzymał się ściśle opowieści ewangelistów, którzy np. nie wspominają o obecności Sanhedrynu, Szawła i Piotra, orszakowi niewiast każą przypatrywać się „zdala,“ o Szymonie mówią, że był „przymuszonym“ do niesienia krzyża itd. Ale z tego nie można p. Styce czynić zarzutu, gdyż fantazya, nieskrępowana pewnością faktów historycznych, miała zupełne i szerokie prawo zastąpić ich brak, uzupełnić tradycyę, a nawet zmienić ją w szczegółach. Ściśle należy się obliczać tylko ze stroną artystyczną obrazu. Otóż przyznając mu zalety w rysunku, rozkładzie grup i rozległości widoków, zauważyć trzeba, że warunki perspektywy nie są umiejętnie zachowane Ludzie i rzeczy pierwszego planu posiadają rozmiary zbyt wielkie, co zwłaszcza razić musi w rasie nieodznaczającej się wysokim wzrostem. Żydzi nie należeli nigdy do olbrzymów. Podobną nieproporcyonalność okazują niektóre przedmioty. Krzyże, które Rzymianie, jako sposób hańbiącej kaźni wynaleźli, były tak nizkie, że często skazaniec dostawał nogami do ziemi. Tymczasem p. Styka dla dwu zbrodniarzy postawił tak wysokie, że trudno pojąć, jak oni mogli być na nie wciągnięci, zwłaszcza za pomocą małej, leżącej przy nich drabinki. Krzyż Chrystusa jest znacznie mniejszy i niewkopany. Dlaczego mniejszy i dlaczego niewkopany? P. Styka poszedł za tradycyą kościelną (ewangelie o tym szczególe milczą), według której Chrystus został naprzód przybity na krzyżu, a potem z nim podniesiony. Jeśli wszakże artysta przyjął ten przebieg męczeństwa, to powinien był również położyć dwa inne krzyże, gdyż Jezusa skazano na taką samą karę, jak obu złoczyńców, a jedyne wyróżnienie stanowić miała tabliczka z urągającym napisem Piłata: „Król żydowski.“ Unaocznienie tego zrównania podniosłoby jeszcze bardziej zgrozę sceny.

Najgłówniejszym przedmiotem ciekawości widza w takim obrazie musi być Chrystus. Nie przeczymy, że trudność w wyobrażeniu tak wielkiej, ziemsko-nieziemskiej, ludzko-nieludzkiej postaci jest olbrzymią. Ale też p. Styka nie pokonał jej zwycięzko. Jego Chrystus nie jest ani realnym męczennikiem, który przecież zniósł straszną poniewierkę, chłostę, uderzenia strażaków, pastwienie się tłumu, ciężar dźwiganego krzyża i moralną boleść dzikiej katuszy, ani też wcielonym duchem, nieczującym żadnej dolegliwości fizycznej i zatopionym jedynie w marzeniu o swem spełnionem posłannictwie. Jest on potrosze jednym i drugim. Chudy, spokojny, z podniesioną ku niebu twarzą budzi żal, ale nas nie wstrząsa, nie porywa, nie rzuca na kolana i nie wydziera z serca krzyku uwielbienia i skargi. Widzimy w nim niewinną i szlachetną ofiarę ciemnoty i niesprawiedliwości, ale to wrażenie nie wyczerpuje jeszcze całej wagi życia i całego tragizmu śmierci Chrystusa.

Pomimo to praca p. Styki zasługuje na szczere uznanie i uwagę najszerszego koła widzów. Niech jego panoramę obejrzą jak najliczniejsze gromady ludzkie — z widoku wielkiego męczeństwa za swobodę ducha, za miłość powszechną, za ukochanie cnoty, za czystość serca — wyniosą pobudki i natchnienia, które im są bardzo potrzebne i stanowią najcenniejsze dobro człowieka.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

NASZE TEGOCZESNE PIĘKNOZNAWSTWO.

Stało się nareszcie zadość pragnieniom i żądaniom artystów malarzy, narzekających niegdyś na „dyletantyzm“ estetycznej krytyki polskiej — a względnie „warszawskiej.“ Do roboty zabrali się ludzie fachowi, wtajemniczeni w rzemieślnicze zasoby i sposoby kunsztu, uzbrojeni w narzędzia fachowego znawstwa. Do sądzenia i wyrokowania o malarstwie polskiem zasiedli sami malarze. Ustąpił z widowni Struve, rozwieszający na obrazach, niby na kołkach i gwoździach, „strzępy swej mglistej, idealno-realnej filozofii“; zamilkł Matuszewski, ziewający i ciągle utyskujący, że mu jakoś mdło, duszno i ciasno; otrząsnął palce Gomulicki, przypominający górnolotnymi swymi frazesami „szczękanie nożyc fryzyerskich, które po kilku cięciach we włosy długo dzwonią w powietrzu.“ Ich miejsce zajęli artyści najczystszej wody: Maks Gierymski w pamiętniku streszczonym przez Sygietyńskiego („Album Gierymskich“), Stanisław Witkiewicz w dziele „Krytyka i sztuka u nas“ (1891), Henryk Rodakowski w „Kilka słów o malarstwie“ (1895), Henryk Piątkowski w szkicach i notatkach p. t. „Polskie malarstwo współczesne“ (1895).

Ile na tej zamianie wygrała sztuka, a ile publiczność? Odpowiedź zarysuje się bardzo jasno i dokładnie w umyśle każdego, kto uważnie odczyta choćby jedno tylko studyum Witkiewicza o Juliuszu Kossaku (str. 381—390), jedną monografię Piątkowskiego o Józefie Chełmońskim (65—82), jedną kartkę Sygietyńskiego (78), porównywającą Maksa Gierymskiego do Chopina, Aleksandra Gierymskiego do Schumana. „Chopin ze swoją naturą wytworną, delikatną, miękką, pieszczotliwą, niewieścią, starał się zawsze akordy dysonansowe rozdrobnić na szczegóły i rozsypać w perłach pasażów skomplikowanych po całej tkance harmonii. Schuman, bardziej brutalny, silniejszy, jędrniejszy, przy tym samym zmyśle harmonistycznym, nie cofał się przed żadnym dysonansem, wciągał najprzykrzej brzmiące dźwięki do akordów, które stawiał obok siebie bezpośrednio i tak grupował, aby rozwijanie się pojedynczych akordów w grupy, a grup w harmonię ostateczną, następowało na krańcach wrażliwości słuchu. Jeden masę akordów rozbijał na subtelne szczegóły tonów i półtonów, drugi tony i półtony zbijał w potężną masę. Stosunek Maksa Gierymskiego do Aleksandra w kolorze, to stosunek Chopina do Schumanna w harmonii...“ „W długim szeregu obrazów, wykonanych w ostatnich latach, Chełmoński dał nam cały cykl wyobrażeń o pewnych stanach natury, o pewnych jej nastrojach... Po za linią pejzażu, po za zwykłą mieszaniną kolorów, w każdej jego kompozycyi jest coś, co się ukrywa za stroną techniczną wykonania, ogarnia całą duchową stronę kompozycyi, unosi się nad przedstawionym momentem w naturze podpatrzonym i chwyta równocześnie i oko i umysł widza. Pospolicie zarzucają obrazom Chełmońskiego brak *treści*... Ale co innego pod tym wyrazem rozumie przeciętny literat, a co innego artysta. Dla ogółu treścią obrazu jest anegdota, fakt jakiś, scena; dla malarstwa, jako sztuki samoistnej — jest to pewien stan psychologiczny, który w artyście powstał pod wpływem wrażenia, jakie na niego wywarł pewien moment zauważony w naturze. Wrażenie to

artysta stara się zamknąć w formę pomysłu, który już jest jego wynikiem. Pomysł ów, zarzucony mniej więcej dokładnie na płótno, staje się tylko zarysem, szematem, tkanką, na której owo pierwotne wrażenie uwydatnić się może, rozbłysnąć jak uśmiech na twarzy lub zachmurzyć się jak smutek na czole..." „Kossak cały swój materyał malarski nosi w sobie. Jego pracownia jest to zwykły pokój. Parę sztalug z podmalowanemi akwarelami, parę rysunków na stole, czapka szwoleżera jako pamiątka — i to wszystko. Gdzie są te kostiumy, te szczególne oświetlenia, ta przestrzeń do ustawienia modelu, gdzie cała mnogość i rozmaitość studyów, wyrażająca chęć pozbycia się rutyny, maniery, chęć zamienienia płótna na technicznie życia... Nic z tego. Kossak ma wszystko w swojej głowie, zredukowane, ściśnięte do rozmiarów i sił potrzebnych w jego sztuce. On szybkim i pewnym konturem naznacza wystraszonego kucyka i wściekłego niedźwiedzia dławiącego psy zajadłe, i biegnących na pomoc obławników i pana stającego mężnie do walki z niedźwiedzicą... Kossak wywarł wpływ wielki i bardzo dodatni na idące za nim pokolenie... W jego talencie leżała siła początkowania, rozbudzania myśli, zwracania uwagi na całą rozmaitość objawów życiowych... Wywoływał talenty, pomagał do uświadomienia się indywidualności, otwierał drogi, nigdy nie był hamulcem, narzucającym swoją manierę... Samodzielny, szczery i wielki talent..."

Pomimo że w przytoczonych ustępach, zarówno jak w setkach innych, chodzi o określenie rzeczy najtrudniejszych: specyalnego charakteru wytwórczości danego mistrza lub danej szkoły, pomimo że krytycy wchodzą niekiedy w najdrobniejsze szczegóły tak zwanej „faktury" malarskiej, wybornie rozumiemy ich wszędzie, choćbyśmy sami byli skończonymi nieukami. Kształt, barwa, światłocień — przemawiają do nas, po niejakiem oswojeniu się z niemi, wyraźniej jeszcze, niż dawno idee, ideały, idealizacye. Porównanie, zestawienie zbija nas czasami z tropu (jak powyżej w Schumannie i Chopinie), lecz nie na długo. W każdym razie, co za różnica z analogiami estetyków starego autoramentu, np. z ową sławną analogią ś. p. Zenona Hałatkiewicza, który, jak świadczy Libelt („Estetyka," t. II, cz. II, str. 193, wyd. 1854), „w znakomitem piśmie o świetle, jako ogniwie jednoczącem świat wewnętrzny z zewnętrznym, okazał nader przekonywająco, że trzem zasadniczym kolorom: czerwonemu, żółtemu i niebieskiemu, odpowiadają trzy zasadnicze smaki: kwaśny, gorzki i słony, zaś dwom kolorom neutralizującym: białemu i czarnemu, odpowiadają smaki neutralne — słodki i obojętny (bezsmak)"...

Pokwapmy się jednak z zaznaczeniem, że widoczna ta przewaga synów nad ojcami szybko spada do zera i nieraz nawet niżej, ilekroć podnieceni powodzeniem na właściwem polu „młodzi" nasi opuszczają pracownię i od szczegółowych postrzeżeń *artystycznych* przechodzą do uogólnionych wniosków *estetycznych*. W jednej chwili ogarnia ich powietrze do tego stopnia czyste, rozcieńczone, że się upijają i padają jak muchy od narkotycznego ulepku. Nie wytykając już nikomu po imieniu, powołamy się na pierwszy lepszy ustęp — króciutki zresztą. „Stopniowo, kierunek realny przeobrażał wszystkie gałęzie sztuki... W malarstwie *czysto warunkowa dążność* do ideału zastąpiona została dążnością bardziej pozytywną do prawdy.. Formuły zacieśniające obszar sztuki zaczęły upadać, brała górę potrzeba przedstawienia *natury* tak pod względem *materyalnym*, jako też i *duchowym*. *Dało to* możność zdolniejszym jednostkom do stworzenia dzieł czysto *indywidualnych*, do *tłómaczenia przyrody* samoistnie, przez pryzmat własnych *temperamentów...*" Sto razy wpierw wysuszylibyśmy sobie głowę, zanimbyśmy przeniknęli sens i znaczenie tych natur materyalnych i duchowych, tych temperamentów indywidualnych, tłómaczących sobie przyrodę w pozytywnej dążności do prawdy. A nie jest to wcale jakiś luźny splot terminów zawiłych, wzajemnie się zaciemniających, lecz powszechne, nieustające wmawianie w siebie zasad, których się nie zdobyło, które wciąż wołają o ściślejsze określenie. Artyzm z jednej strony, natura z drugiej, a pośrodku błąkają się rozmaite kombinacye łączne, najzupełniej słowne, na niczem rzeczowo nie ugruntowane. Przelewa się ten płyn dowolny z kubka w kubek akrobatycznie, jak gdyby dla przekonania ślepych, że obydwa są pełne.

Przytem — masa frazesów utartych, przyjętych na wiarę z dykcyonarza poprzedników. Henryk Rodakowski, malarz pierwszorzędnej sławy, o którym Piątkowski powiada, że zostawi po sobie w spuściźnie dzieła nigdy niezaćmionej wartości — teoretycznie, jako estetyk nic zgoła nie ma do pozazdroszczenia Gomulickiemu lub Matuszewskiemu, zepchniętym przez Witkiewicza do roli młynarzy słomy literackiej. Sztuka — według niego — streszcza i uosabia te idee, któremi „umysłowo oddycha" społeczeństwo, co tę sztukę wydało — a jest to tem łatwiejsze do okazania, żeśmy do ogólnego wyobrażenia o ideach społecznych zaciągnęli zgóry idee sztukmistrzów samych, więc nic dziw, że się nam następnie wydaje, jakoby społeczeństwo tem samem posiadało w swem łonie coś w rodzaju oderwanej studni platońskiej, z której sztukmistrze wodę nieśmiertelności czerpią. Dalej jest u Rodakowskiego mowa o ogniu prometeuszowym, za pomocą którego powstają w duszach Rafaelów postacie niezmierzonej potęgi „dla rozkoszy i nauki przyszłych pokoleń;" następnie zaznaczono, że podstawę artyzmu stanowi „ruch, proporcya, wyraz, urok — słowem poczucie piękna;" idzie z kolei definicya natchnienia, które jest „emocyą, wzruszeniem, naprężeniem ducha, gorętszem tętnem całego organizmu;" wreszcie wieńczy się sprawa cała zapewnieniem, że „styl w malarstwie nie zadawala się oddawaniem widzianej formy, ale dostraja ją raczej do pewnego ideału doskonałości, który artysta w sobie nosi."

Co Rodakowski nazywa dostrajaniem się do „ideału doskonałości," to młodsi od niego artyści-estetycy zastępują zazwyczaj ulubioną formułą „dociągania się do wzorów natury." I możeby istotnie urosło kiedykolwiek coś konsekwentniejszego z tego dociągania się, gdyby tuż obok nie stawał zaraz ze swą antytezą biegun przeciwległy: „potrzeba duchowa," „bezwiedny impuls moralny" (Piątkowski we wstępie), lub też, w nomenklaturze nieco zrozumialszej, psychologicznej, „wrażliwość uczucia," „indywidualna odrębność temperamentu," czyniące, że „obraz, czy rzeźba jest zawsze *tylko interpretacyą* osobistą przedmiotów lub istot, zarówno rzeczywistych, jak i zmyślonych" (Sygietyński, str. 26).

Wszystko to razem wzięte sprawia zamęt nie mniejszy, niż za czasów Hałatkiewicza, kiedy światło miało być przewodnikiem i arką przymierza pomiędzy światem wewnętrznym a zewnętrznym. Naprzekór energicznym protestom przeciwko estetyce grecko-niemieckiej, z której, według niezmiernie jaskrawego orzeczenia Witkiewicza (wstępu str. XII) „zrobiono policyę prawomyślności, trybunał inkwizycyjny," potępiający i strącający w nicość każdy objaw nowych oryginalnych form w sztuce, ilekroć nie zgadza się on ze stanowiskiem „bezwzględnego piękna," wcielonego w arcydzieła klasyczne — kręcimy się i tłuczemy się wciąż dalej w przedsionku tej estetyki starożytnej, klasycznej i trafić do wyjścia z niej nie możemy, głównie z powodu chwiejnego, niewymotywowanego pojęcia owej „natury," którą nie przestajemy czcić po helleńsku, jako całokształt zjawisk, spowitych w jakąś „doskonałość" boską (Witkiewicz, str. 422). Oto dlaczego od Winckelmanna, który swe wywody filozoficzno-estetyczne osnuł na odwzorach greckich, do Diderota, który w głośnych swych ocenach (około r. 1765) wyznał, że je kreślił według wskazówek mistrza niemieckiego, od Kremera i jego Listów (1841) do Taine'a i jego środowisk (1865), stosunek estetyki tradycyjnej do artyzmu rozkwitającego za każdą wiosną ludzkiego życia nie zmienił się wcale. Był on i pozostał stosunkiem księżyca do słońca — i to się mu chwali; ale nie chwali się mu bynajmniej, że tak często przybierał najgorszą tego stosunku odmianę. Jak księżyc służy niekiedy do zaćmienia słońca, tak też i estetyka, zamiast wspierać i potęgować twórczość, od której blaski swe bierze, okrywa ją nieraz cieniem i chaosem. A lunatyzm ten tyle dziwacznych linij zatoczył od lat stu w lewo w prawo, tyle razy zygzakowato obrócił się dokoła siebie, że *pięknotwórstwo* wprost przestało liczyć się z teoryami *pięknoznawstwa* i na ich ewolucye już dziś i nie zważa, zupełnie jak słońce, które wstając zrana nie patrzy i nie ogląda się na to, czy księżyc przed niem umyka, czy też idzie na jego spotkanie.

Hodi.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WYDAWNICTWA ZESZYTOWE: *Encyklopedyi rolniczej* wyszedł z. 44.

— *Samouczka* polsko-francuskiego z. 5.

— Nakładem Grendyszyńskiego w Petersburgu zaczęły wychodzić zeszytami *Księgi humoru polskiego*, zebrane i ułożone przez K. Bartoszewicza.

POWIEŚCI: Wł. Trąmpczyński przetłómaczył, a Dubowski i Gajewski wydali, romans historyczny z czasów Napoleona, bezimiennego autora p. t. *Królowa* (str. 256).

— Antoni Godziemba Wysocki: *Aniołowie z gliny* (str. 173). Centnerszwer.

— Z. Sarnecki: *Szklana góra*, baśń w 5 odsłonach (str. 172). Gebethner i Wolff.

BADANIA NAUKOWE. Mathias Bersohn: *Modlitewnik królowej Maryi Kazimiery Sobieskiej*. Z sześcioma rycinami (str. 16 dużej 8-ki). Kraków, 1896.

DLA MŁODZIEŻY. W. Synoradzki: *Żeglarz nad żeglarze* (Krzysztof Kolumb), z rysunkami (str. 143). Koliński.

KALENDARZE. Jeden z najlepszych, bo wyłącznie (i ściśle) informacyjnych kalendarzy, *Łodzianin*, wyszedł z druku.

POEZYE

ECHA JESIENNE

JÓZEFA STANISŁAWA WIERZBICKIEGO.

I.

Łkają dzwony kościoła,
Łkają, zda się, aż w niebie,
Rzekłbyś, stamtąd ktoś woła
Skargą cichą na ciebie.

Głosem matki rodzonej,
Co pochyla skroń siwą,
Łkają w niebie wciąż dzwony
Nad jesienną tą niwą...

Płacz serdeczny w nich słychać
I tęsknoty, i żale...
Jakby z wiatrem, co wzdychać
Przyszedł cicho nad fale,

Jakby z sercem, co woła
Po dni szczęścia pogrzebie—
Łkają dzwony kościoła,
Łkają, zda się, aż w niebie.

II.

Księżyc blaski przez chmurę
Przesiewa
Na ugory ponure
Na drzewa.

Szumi brzoza płacząca
Przy drodze;
Wietrzyk liście roztrąca
Niebodze.

Krzyż na boku się słania
Sierocy;
Gaj utonął w dumaniu
Wśród nocy.

Woda jakby szeleści
W osinie
Cichą skargą boleści
I płynie.

Jakby wielki stróż dworu
Jesieni
Wilk gdzieś zawył wśród boru,
Wśród cieni.

Wrony lecą gromadą
I kraczą.
Żebrak podniósł twarz bladą
Z rozpaczą.

I zapłakał pod brzozą
Schyloną
I jak listek mu zgrozą
Drży łono.

Nigdzie światło nie błyska
Zdaleka;
Nigdzie chatka go nizka
Nie czeka.

Zamiast serca, co prośbę
Oceni
Wilk zawyje mu groźbę
Jesieni.

I obwinął sierota
Raniony
Krzyż nad drogą żywota
Zwieszony.

III.

Leci nitka pajęcza
Cicho snuje się senna;
Na niej złudna gra tęcza,
Tęcza blasków — jesienna.

Wiatr — troskliwa ją prządka
Pasmem uniósł w kraj siny —
Z najcichszego zakątka,
Z najpiękniejszej doliny.

I nie zejdzie jej słońce,
Nie przytuli do łona,
Kiedy w słoty płaczące
Będzie latać stęskniona!

I jak ludzka ta dola
Na grób cichy, pod wieko,
Tak opadnie na pola
Biedna nitka daleko!

I jak uschnąć gdzieś w pyle
Owej przędzy pajęczej,
Tak w sierocej mogile
Zgasnąć sercu, co jęczy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ ROLNY.

Wzrost podziału pracy na przestrzeni obszaru wymiennego. — Okręgi pszenicy, nabiału i opasów. — Ogniska przeróbki wiktuałów. — Czem jest przesilenie agrarne.

Po przemyśle przetwórczym nastały czasy przewrotu w dziedzinie rolnictwa.

Industryalizm nowoczesny sprawił głębokie zmiany w rozmieszczeniu sił wytwórczych krajów: powstały wyspecyalizowane okręgi, zajmujące się przeróbką materyałów surowych. W pewnej okolicy rozsiadł się np. przemysł przędzarski i tkacki, w innej żelazny lub chemiczny itd. Taki terytoryalny podział pracy, wyrosłszy w Angli, zwolna rozpowszechnił się w innych krajach i z biegiem czasu stworzył wyodrębnienie pewnych okolic z pośród innych na przestrzeni ogółu krajów cywilizowanych.

Przewrót taki objął dzisiaj także produkcyę rolną. Anglia, która dała początek okręgom przemysłowym, pierwsza też pchnęła stosunki rolne na tę drogę. Stawała się ona coraz bardziej krajem czysto przemysłowym, zamieniała się, w stosunku do innych państw, na olbrzymie miasto, wymagające stałego dowozu wiktuałów z obczyzny. W miarę rozwoju środków komunikacyjnych otrzymuje ona przedmioty spożywcze z coraz odleglejszych dzielnic globu. Dzisiaj zboże do niej nadchodzi ze stepów Rosyi południowej, z porzecza rzeki Czerwonej w Stanach Zjednoczonych i z pól Argentyny, oraz Indyj Przedgangesowych. Stany Zjednoczone i Argentyna wysyłają wołowinę, Kanada wieprzowinę, Nowa Zelandya i Australia baraninę, jaja pochodzą nawet z gub. Wiackiej, masła dostarczają Dania i Finlandya. Okręgi przemysłowe w każdym kraju oddziaływają w podobny sposób, tj. stwarzają specyalizacyę w rolnictwie. Wszędzie, dokoła tworzących się miast — tych nowotworów społecznych, możliwych dopiero w wieku pary — nastaje zróżniczkowanie. W pobliżu rynku sadowią się gospodarstwa warzywne i nadają okolicy odrazu wygląd szczególny, charakterystyczny.

Koleje, wiążąc dalekie okolice siecią linij, posuwają terytoryalny podział pracy coraz dalej. Dochodzi wreszcie do tego, że zaczynają wyodrębniać się okręgi, poświęcające się przeważnie pewnej ściśle określonej hodowli. Dość będzie dla przykładu przytoczyć Niemcy. Saksonia, Anhalt i Brunświk stają się zwolna prawie jednem nieprzerwanem polem buraczanem, wśród którego widnieją we wszystkich kierunkach kominy cukrowni, Pomorze i Prusy właściwe przekształciły się na olbrzymie plantacye kartofli i ognisko gorzelnictwa, Bawarya coraz większą uwagą darzy sadownictwo, Holsztyn zamienia się na ogromną łąkę, na której wznoszą się coraz liczniejsze fabryki masła i sera. Produkt, wytworzony w takich wyspecyalizowanych okręgach, rozchodzi się po całem państwie i bywa niekiedy wysyłany nawet do bardzo dalekich zakątków zagranicy. Pod wpływem takiego rozwoju stosunków wymiennych rolnictwo pozbywa się zwolna charakteru, jaki okres gospodarstwa naturalnego nałożył na produkcyę wiejską. Warunki, wśród których człowiek przechodził od koczownictwa do osiadłego trybu życia, oraz nieobecność, w ciągu wieków, wymiany, zmuszały naszych praojców do produkowania wszystkiego na potrzeby swoje we własnym domu. Bez względu na glebę i klimat trzeba było uprawiać wszelkie zboża, zajmować się hodowlą itd. Włościanin dzisiejszy odtwarza w całej pełni te wzory wieków ubiegłych. Na ziemi pszennej będzie on sadził kartofle, na gruntach piaszczystych siał zboże.

Rozwój środków komunikacyjnych oswobadza glebę od dawania tego, do czego jest niestosowna. Na polderach niderlandzkich znikają pola orne i pozostają tylko paśniki, ze szczerków Pomeranii usuwają uprawę pszenicy i zamieniają folwarki na pola kartoflane, w pasie czarnoziemu, o ile klimat sprzyja, sieją tylko pszenicę i buraki.

Swoją drogą to wyzwalanie się gruntów z pod zasady wszechstronności naturalnej odbywa się w Starym Świecie z niezmierną powolnością, gdyż nietylko drobne rozmiary osady włościańskiej stają na przeszkodzie, ale także tradycye i interesy ziemian zamożniejszych niezbyt sprzyjają temu przewrotowi. Ażeby ocenić w całej rozciągłości wpływy doby tegoczesnej na rolnictwo i zrozumieć właściwe jej dążenia wyspecyalizowania terytoryów na okręgi, zajmujące się dostarczaniem na rynek przeważnie tylko jednego lub paru płodów, należy udać się na krańce tegoczesnego terytoryum wymiennego, tam, gdzie człowiek osiedla się jeszcze w kompletnej pustce historycznej — na ziemi dziewiczej, uzbrojony jedynie w kapitały i wynalazki techniczne, oraz od pierwszej chwili osadnictwa związany z całym ogromem podziału pracy siecią wydoskonalonych arteryj ruchu i przewozu.

Kolonista, który zorał nietknięte pokłady czarnoziemu nad rzeką Czerwoną lub rozpoczął hodować owce na pagórkowatych obszarach Australii, chociaż na pozór żyje poza światem, jest przecież połączony z nim tysiącznemi niciami zależności, tak, iż znajduje się pomimo wszystkiego w ruchliwym odmęcie wymiany. W historycznym rozwoju Europy drogi powstają zwolna pomiędzy osadami wiejskiemi i na dzisiejsze ukształtowanie swoje wymagały kilku wieków uprzedniego zagospodarowania terytoryów. Tymczasem tam, w koloniach, kolej wyprzedza osadników i jest właśnie łożyskiem, którego trzymają się potoki kolonizacyjne. Dowozi ona wszystko, czego człowiek zapotrzebuje na nowej sadybie swojej, kolonista zaś, dzięki temu zaopatrzony we wszelkie możliwe produkta, w tej liczbie rolne, na swojej ziemi wytwarza tylko te płody, które najlepiej odpowiadają naturze uprawianej gleby, warunkom klimatycznym, oraz wymaganiom rynków. Nie będzie on gwałcił gruntów, siejąc na piasku zboża, ani łąk naturalnych nie zamieni na zimno sapowate pola. W ten sposób olbrzymia przestrzeń, mająca trzysta mil angielskich długości i około stu szerokości, przerznięta przez nurt rzeki Czerwonej, przedstawia jedno niezmierzone pole pszenne, jedynie tu i owdzie urozmaicone oazami owsa i jęczmienia. Stepy Texasu i N. Meksyku, Argentyny i Urugwaju, świeżo zaś Natalu stają się ogromnemi oborami, gdzie pod gołem niebem pasą się niezliczone trzody bydła rogatego. Są tam przedsiębiorstwa, posiadające po milionie i więcej sztuk. Pagorkowate podgórze pasma Skalistego i Australia pod wpływem tych samych czynników przekształcają się na holendernię, przyczem pojedyńcze firmy miewają po paręset tysięcy owiec. Kalifornia zwolna przechodzi w sztuczny las drzew owocowych, N. Anglia zaś zamienia się na rozległe gospodarstwo łączne i nabiałowe. Człowiek umiejscawia hodowlę, przyczem uwzględnia nietylko naturę gleby, ale także bierze pod uwagę właściwości klimatu. Czarnoziem w Ameryce Północnej istnieje nietylko na rzeką Czerwoną, ale tylko obszary tamtejsze stały się widownią uprawy pszenicy, ponieważ tylko tam powietrze odznacza się odpowiednimi przymiotami: deszcze padają rzadko i prawie wcale nie zdarzają się w porze dojrzewania zboża, oraz zbiorów, klimat jest suchy. Gospodarz nie potrzebuje kłopotać się o zmiany meteorologiczne, tak uciążliwe dla naszego ziemianina, może zastosować pewne ciężkie maszyny, u nas wprost niemożliwe, bo zanadto wrzynałyby się w wilgotną i rozmiękłą ziemię lub nie zdołałyby ciąć mokrego i powalonego zboża. Natomiast N. Anglia, z powodu bliskości morza mająca klimat bardzo wilgotny i częste opady atmosferyczne, dała przytułek gospodarstwu mlecznemu: zamiast pól pokryły ją łąki.

Tworzą się zwolna jednostki gospodar-

cze wyższego rzędu, wybiegające rozmiarami swoimi po za rozległość pojedynczych folwarków i zlewające się poniekąd z obszarami geologicznymi. Teoretycy agronomii już oddawna zwrócili uwagę na ten punkt, zaznaczając, że mapy geologiczne mogą jednocześnie służyć jako wskazówka, pozwalająca rolnikowi odrazu ocenić właściwości pewnej gleby, i powinny być wzięte za podstawę przy zakładaniu stacyj rolniczych. Doświadczalnie agronomiczne powinny być tak zakładane, ażeby każda stawała się przewodniczką teoretyczną ziemian odpowiedniego pasa geologicznego. Zresztą ta strona kwestyi mało nas obchodzi na razie. Natomiast pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na inne zjawisko, stale towarzyszące wyodrębnianiu się terytoryów rolnych i hodowlanych.

Mianowicie łącznie z powstawaniem okręgów pszennych, opasowych, nabiału i in. ukazują się odpowiednie ośrodki przeróbki wiktuałów. Przyzwyczailiśmy się dotychczas mówić jedynie o takich miastach, jak Manchester i Sheffield, będących ośrodkami tkactwa, nożownictwa itd. Tymczasem wszędzie, w pobliżu wyspecyalizowanych obszarów rolnych, powstają takie same punkty przeróbki płodów rolnych. Koniecznem uzupełnieniem stepu pszennego rz. Czerwonej jest miasto mączne, *flour city*, pod jakiem to mianem słynie Minneapolis. „Dzieje tego miasta są podobnie ciekawe, jak wątek sensacyjnego romansu," zapewnia nas ktoś z jego obywateli. Przed kilku dziesiątkami lat tylko Indyanin obozował na tych miejscach, na których dzisiaj istnieją młyny, przerabiające rocznie na mąkę taką niemal ilość pszenicy, jaką średnio produkuje Królestwo. Takim samym wytworem stepów Texasu są miasta Omaha, Peoria, Kanzas-City. Wszystkie one powstały skutkiem usadowienia się tam targowisk na bydło, w dalszym ciągu zaś rzeźni. Współzawodniczą one z Chicago, z którego gdy parę firm rzeźnickich zamierzyło się wynieść, to obliczono, iż na pustkowiu stworzą one natychmiast miasto takiej wielkości, jak Łódź, utrzymujące się jedynie z rzeźnictwa.

Zresztą nie potrzebujemy szukać wzorów aż gdzieś za morzami. I w bliższem sąsiedztwie działają podobne sprężyny. Libawa, Odesa przybierają zwolna nieco pokrewny charakter. Właśnie mamy pod ręką opis szczególnego ogniska przemysłowego na Węgrzech, utrzymującego się tylko z tuczenia trzody chlewnej. Jest to miasto Köbonya (Steinbruch) w pobliżu Budapesztu, przez które w r. 1894 przewinęło się aż 900,000 sztuk nierogacizny. Nadchodzą do tego ogniska transporty trzody chlewnej z Węgier, Serbii i Rumunii, okazy pozostają pewien czas w Kobenya, ażeby nabrały lepszej tuszy. Istnieją tam kompletne fabryki opasu, np. dość będzie wymienić firmę spółkową, rozporządzającą 500,000 guldenów kapitału akcyjnego. Przedsiębiorstwo to może w swoich chlewach jednorazowo poddać tuczeniu 20,000 sztuk, oraz posiada własny młyn parowy dla szrutowania kukurydzy i jęczmienia na paszę, który obliczono na 70,000 pudów produkcyi. Powstały różne urządzenia, możliwe tylko przy takiej centralizacyi tuczenia. Doświadczenie wykazało, że najkorzystniej jest opasać trzodę chlewną, będącą w pewnym wieku, mianowicie mającą około półtora roku. Starsza wymaga dłuższego tuczenia, ażeby wydać tę samą ilość mięsa. Również ten sam pokarm działa niejednakowo: sztuki, które otrzymują zboże nieszrutowane, nigdy nie dają takich rezultatów, jak te, co dostają pokarm zmielony. I różne gatunki posiadają bardzo odmienne zalety, niektóre wprost nie opłaci się tuczyć. Słowem, pod działaniem centralizacyi rozwija się empirya hodowlana, niemożliwa nawet do zastosowania na wielkim folwarku, największy bowiem jest jeszcze mały w porównaniu z rozmiarami prowadzenia opasu w chlewach firm köbonyanskich. Dodajmy do tego kwarantannę weterynaryjną i inne urządzenia podobnej natury, a otrzymamy całokształt obrazu stosunków, stworzonych przez tegoczesną dobę ekonomiczną.

Przytoczone objawy zasługują na bliższą uwagę nietylko jako bardzo ciekawe wzory specyalicyi i centralizacyi. Powstawanie międzynarodowego podziału pracy w rolnictwie, ukazywanie się wyodrębnionych terytoryów uprawy i hodowli, wyrastanie ognisk przeróbki i tuczenia świadczą, że w łonie produkcyi rolnej dojrzewają nowe siły wytwórcze, przerastające swoim ogromem dotychczasową rutynę ziemiańską. Są one wskazówką zewnętrzną, pod którą ukrywa się gruntowny przełom w tradycyjnych stosunkach gospodarstwa wiejskiego. Konkurencya zamorska jest tylko jedną ze stron tego przewrotu, ale tylko jedną, obok której istnieją jeszcze inne. Oświetlone z tego punktu tak zwane przesilenie agrarne nabiera zgoła innego charakteru. Jest ono rozdźwiękiem, wynikającym ze zjawienia się w rolnictwie sił wytwórczych, którym za ciasno w powijakach indywidualnego trybu produkowania. Taki sposób produkcyi, zamiast być, jak ongi, dźwignią rozwoju ekonomicznego, dzisiaj tylko powstrzymuje dalszy postęp, między innemi zaś uniemożliwia powstawanie wyraźnie wyodrębnionych obszarów i wyzyskanie należyte własności każdego pokładu geologicznego — zapuszczenia piasków pod lasy, zamiany pasu czarnoziemu tylko na pole pszenne, mokrych gruntów na łąki itd.

O PRAWDĘ.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako uczestnik IV-go zjazdu górniczego w Warszawie, mam zaszczyt prosić o umieszczenie w *Prawdzie* kilku słów moich odnośnie sprawozdania jej o zjeździe w nr. 52 r. z.

Niepodobna odmówić trafności w usystematyzowaniu przez sprawozdawcę *Prawdy* różnorodnych spraw, poruszonych na zjeździe, trudno się nie zgodzić z ogólnem jego zapatrywaniem na przebieg obrad, ale też z tem większą przykrością należy zaznaczyć opaczne przedstawienie sprawy o przekształceniu szkoły górniczej w Dąbrowie.

Podczas obrad nad nią kilkakrotnie zabierałem głos (nie byłem przedstawicielem żadnego przedsiębiorstwa) i stałem w opozycyi względem „postępowych" zapatrywań pp. Bryłkina, Iwanowa i innych, a natomiast znalazłem się we „wstecznych" szeregach olbrzymiej większości obradujących. Sprawa szkoły górniczej jest zbyt ważną, zarówno ze względu na dobro przemysłu krajowego, jako też ze względu na właściwe wyrobienie zdania o niej u naszego ogółu czytającego.

Szkoła ta, w osobach swych wychowańców, powinna wyświadczać przemysłowi górniczemu usługi nieocenione. Każdy z tem się zgadza, jak też zgadzała się owa „wsteczna" większość obradujących, ale jednocześnie każdy przyznać musi, że w swej formie obecnej szkoła górnicza dąbrowiecka przemysłowi naszemu żadnych usług oddać nie jest w stanie. A dlaczego, pozwolę sobie poniżej objaśnić.

Zajęcie górnicze jest zbyt trudne wobec nienaturalnych warunków pracy podziemnej lub hutniczej, a również jest znacznie niebezpieczniejsze od innych zawodów *). Szkoła górnicza w Dąbrowie ma na celu dostarczać średnich techników, a więc ludzi, dla których wilgoć, brak światła i niezdrowe powietrze kopalń oraz kurz, dym i żar nieznośny hut — powinny być atmosferą powszednią; nikomu podobne warunki przyjemności nie sprawiają, ale organizm zdrowy, do czasu przynajmniej, może znosić taką pracę bez szczególnych przykrości. Za praktyczne, rozumne i humanitarne, a nie „wsteczne," należy uważać uchwalenie przez zjazd potytku cenzusu wytrwałości przyszłych wychowańców szkoły górniczej przez wprowadzenie wstępnej praktyki robotniczej w ciągu jednego roku. Każda praca staje się korzystną dla ogółu, a przyjemną dla wykonawcy dopiero wtedy, kiedy do niej wkładamy duszę, wzóle zwaną zamiłowaniem do pracy; każdy górnik od najniższego szczebla zatrudnień do najwyższego powinien zamiłowanie takie posiadać w stopniu najwyższym: inaczej praca jego byłaby dla niego źródłem nieustającej i najohydniejszej tortury. Pracownicy, postawieni na niższym szczeblu, zastępują sobie zamiłowanie zarozumiałością zawodową, według której zawód ich jest najzaszczytniejszym, pracownicy wykształceni (a to bynajmniej nie jest równoznaczne z rozwojem umysłowym) powinni szukać zamiłowania do pracy w rozumowem, że tak powiem, filozoficznem badaniu techniki swego zawodu. Pole tu niewyczerpane!... Jedna umiejętna wskazówka, jedna drobna zmiana w narzędziach używanych, może zaoszczędzić dużo mozołu przy zdobywaniu kawałka chleba przez robotnika, a dla autora tej zmiany może być prawdziwem źródłem przyjemności, pewności siebie i ambicyi w lepszem słowa tego znaczeniu.

Wychowańcy szkoły górniczej powinni należeć do tej ostatniej kategoryi pracowników; nikt temu na zjeździe nie przeczył, bo moja formuła idealnego wychowańca, a więc człowieka wytrwalego fizycznie, rozwiniętego umysłowo i zamiłowanego w zawodzie, została bez opozycyi przyjętą. Teraźniejsi wychowańcy szkoły górniczej (przez lat trzy miałem z nimi w praktyce do czynienia) może są biegli w trygonometryi, algebrze, posiadają kilkadziesiąt nazw paleontologicznych — chociaż tego w potrzebie nie ujawniają — mają pretensye do projektów na maszyny i urządzenia górnicze, jednak, wogóle rzecz biorąc, są ludźmi zupełnie nierozwiniętymi umysłowo, a więc do pracy swej zawodowej nieprzygotowani.

Kto zna nasze stosunki górnicze, ten nie zaprzeczy, że u nas stanowisko średniego technika (sztygara lub majstra) jest lepiej płatne, mniej odpowiedzialne, niekiedy mniej zależne, lecz zawsze więcej cenione przez zajęciodawców, niż stanowisko średniego inżeniera.

Zdawałoby się, że przy dobrem zrozumieniu stanowiska swego wychowańcy szkoły górniczej w Dąbrowie z całą energią i zasobem środków potrzebnych ruszą na zdobycie stanowisk, na których obecnie siedzą Niemcy lub Francuzi, nie zawsze nawet piśmienni w języku ojczystym, lecz zawsze pobierający pensyi tyle, ile nie bierze technik z wyższem wykształceniem krajowem nawet po pięciu latach pracy *). W praktyce stało się inaczej; niedoszli ministrowie, prezesowie itd. (u nas przecie rodzice dla swych synów nie marzą o innej karyerze dopóty, dopóki los nielitościwy przez usunięcie owego dygnitarza wymarzonego z 3-ej lub 4-ej klasy szkół średnich nie zmusi do obniżenia skali marzeń i wmawiań aż... do karyery średniego technika górniczego naprzykład), zamiast dobrze zrozumianego zadania swej pracy obdarzają wszystkich objawami swej „ambicyi" dziecinnej, „samodzielności" nie na czasie i nie na miejscu, oraz pogardy do swego zawodu.

*) Według statystyki Niemieckiego Biura Ubezpieczeń za 5 lat (1887—1892) na 1,000 ubezpieczonych robotników było wypadków śmierci lub ciężkiego kalectwa: w kopalniach wogóle 71,0, w kopalniach węglowych 67,1, w hutach żelaznych 65,3, a jednocześnie w papierniach 21,1, w hutach szklanych 13,7, w przędzalniach 10,8.

*) W okolicach Dąbrowy jest w modzie dla młodych inżenierów, po ich zejściu z ławy szkolnej, tak zwana praktyka; polega ona na tem, że adepta najlepszych chęci dyrektor-niemiec wprzęga do najprostszej czynności (ciąganie wózków) na czas nieokreślony i praktykuje go dotąd, dokąd ostatecznie nietylko ciąganie wózków, ale świat cały człowiekowi nie zbrzydnie. W rezultacie, nie widząc ani korzyści, ani przyszłości z takiej praktyki, nasz inżenier opuszcza ją, a życzliwi dla nas Niemcy głoszą *urbi et orbi* z powodu faktu podobnego o nieudolności naszych techników z wyższem wykształceniem. Polityka w skutkach nigdy nie chybiająca!..

Wychowańcy teraźniejszej szkoły górniczej w praktyce, pozując na inżenierów, zawiadowców. dyrektorów wstydzą się pracy mięśniowej, a do umysłowej nie są przygotowani; nie zdarzyło mi się widzieć, żeby kiedykolwiek wychowaniec szkoły górniczej pokazał robotnikowi sposób pracy, albo przynajmniej miał chęć takiego pokazania, ale natomiast każdy powtarza, że ma zamiar wyjechać za granicę (do Freiburga) dla zdobycia stopnia inżenierskiego *) (bardzo wielu tak zrobiło), byle uniknąć „pogardy godnego,“ właściwego sobie stanowiska.

W takich warunkach nasza ciężka praca zawodowa wydaje się wychowańcom teraźniejszej szkoły górniczej w Dąbrowie istotną torturą, a więc nie dla „ambicyi“ i nie dla „zbytniej samodzielności“ rwą się oni po za program swej działalności, lecz dlatego, że nie są do swego zawodu właściwie przygotowani.

Na IV-ym zjeździe górniczym tak czy inaczej zaznaczono zapatrywania na szkołę górniczą z jej wadami i wypowiedziano żądania zmian, lecz nikt, nawet autorowie kilku paradoksów, nie utrzymywali, że potrzebni są na stanowisku sztygarów ludzie „mało wymagający,“ jak twierdzi sprawozdawca *Prawdy*, ale olbrzymia większość obradujących zgodziła się na to, że szkoła daje *ludzi z niepomiernie wielkiemi i nieuzasadnionemi pretensyami* — a to są rzeczy całkiem odmienne. Każdy z pracowników w dziedzinie naszego górnictwa i hutnictwa powinien z przyjemnością podzielić zdanie IV-go zjazdu o potrzebie 3-letniego kursu (zamiast 4 lat) z mniejszem wykształceniem, lecz większym rozwojem umysłowym wychowańców szkoły górniczej; wtedy tylko nasz przemysł zyska zdrowe jednostki, prowadzące go o własnych siłach do rozwoju.

Że jeden z przedstawicieli większego przemysłu żelaznego, wogóle amator wszelkich paradoksów, zaznaczył, iż „nie ma zajęcia więcej niepewnego, niż zajęcie przemysłowe“ **) i na tej podstawie odmówił w swem imieniu zapomogi dla przyszłego internatu, jeszcze nie znaczy, że tak mniemają wszyscy, bo już na obiedzie na cześć przewodniczącego, p. Choroszewskiego, okazało się, że pewien przemysłowiec złożył na rzecz internatu 3,000 rs., nie chcąc ujawnić nawet nazwiska.

Sądzę, że nasi przemysłowcy górniczy, wogóle hołdujący polityce „bez jutra,“ wzniosą internat przy szkole górniczej własnemi siłami i z własnych pobudek, a więc i pod tym względem nie należy patrzeć tak czarno, jak sprawozdawca *Prawdy*.

Proszę przyjąć wyrazy uznania i prawdziwego szacunku.

Adolf Wolski, inżenier górniczy.

*) Większość tych „ambitnych“ wychowańców szkoły górniczej, bez właściwego przygotowania i znajomości języka niemieckiego, naturalnie, po kilku latach „zagranicy“ patentu nie uzyska przy niskiej nawet skali wymagań dla cudzoziemców, co jednak nie przeszkadza tytułować się inżenierami choć z biletów wizytowych, jak tego mamy już sporo przykładów w Dąbrowie i okolicach.

**) Do pewnego stopnia jest tu spora doza słuszności, bo nasz przemysł żelazny usiłuje dla chwilowych korzyści opierać się więcej na giełdowych kombinacyach, niż na naturalnych warunkach rozwoju, które posiada niezaprzeczenie w wysokim stopniu.

W DALI

Z Krasnostawu. Szanowny Panie Redaktorze! Podniesiona w nr. 2 *Prawdy* („Porada prawna“) kwestya utworzenia przygotowawczej szkoły dla obrońców prywatnych pobudziła mnie do napisania kilku słów w tym przedmiocie. Krasnostaw jest miastem względnie małem, bo liczy około 12,000 mieszkańców, a posiada 8 pokątnych doradców, którzy bardzo wyzyskują miejscową i okoliczną ludność, namawiając do niesumiennych procesów. Dużo spraw wynika o krzywoprzysięstwa, o podrobienie dokumentów. Chłopi padają ofiarą, skazywani na więzienie, a pokątnego doradcy ręka sprawiedliwości dosięgnąć nie może. Niejednokrotnie, za pośrednictwem *Kuryera Warszawskiego* pisałem o niesumiennej działalności tych panów, zaakcentowawszy niejeden czyn karygodny, aby zwrócić uwagę władz, lecz usiłowania moje żadnych rezultatów nie osiągnęły i uliczni doradcy dalej grasują. Podana w *Prawdzie* świetna myśl utworzenia szkoły dla obrońców prywatnych sięga bardzo dalekiej przyszłości, ponieważ urzeczywistnienie zależne jest od wielu bardzo warunków. W lubelskim zjeździe sędziów pokoju dotąd ustalona była praktyka, że po kilku latach pracy przy sądzie gminnym jego pisarzowi, uznając go praktycznie i teoretycznie przygotowanym, władza wydawała świadectwo na prawo obrońcy prywatnego. Taki kandydat, znając stosunki miejscowe, uczciwą pracą zdobył chleb i zaufanie ludu, chronił go od wyzysku pokątnych doradców. Dziś i ta droga została bardzo utrudnioną, gdyż prokuratorya lubelska, ze względu, że obrońców ma być za wielu, zaproponowała egzamin. Uchwałą zjazdu sędziów pokoju projekt ten zatwierdzono. Pogląd prokuratoryi nie jest uzasadniony, ponieważ na prowincyi czujemy ogromny brak obrońców prywatnych, o czem przekonywa ogólne powodzenie pokątnych doradców.

Stały czytelnik Prawdy.

Łódź. Firma „Rafał Sachs“ niezależnie od udzielanych corocznie gratyfikacyj, ubezpieczyła na dożywocie i na wypadek śmierci wszystkich współpracowników swoich na sumy 1,000—2,500 rs. i zobowiązała się płacić składki stale. W razie ustąpienia z zakładu, ubezpieczony może otrzymać polisę na własność. W razie śmierci, całkowitą sumę asekuracyjną otrzymuje rodzina.—Liczba abonentów telefonu w Łodzi wzrasta ciągle. Dn. 1 stycznia r. 1889 było ich 241, w r. 1894—449, obecnie zaś cyfra urosła do 681.

Kijów. *Kijewlianin* donosi, iż spodziewane jest wkrótce przybycie do Kijowa przedstawiciei towarzystwa kapitalistów francuskich, którzy zamierzają zająć się sprawą wywozu z Rosyi do Francyi mięsa i bydła rogatego. Kapitał nakładowy ma wynosić 7 mil. franków. Towarzystwo zamierza przewozić do granicy bydło żywo, tam zabijać je i od granicy wywozić już mięso w specyalnych wagonach. Obecnie przedstawiciele towarzystwa są w Petersburgu, gdzie starają się o wyjednanie poparcia ze strony rządu dla nowego przedsiębiorstwa w Rosyi, a do Kijowa przybędą w celu zawarcia stosunków z właścicielami ziemskimi i hodowcami bydła.

Petersburg. Poruszono sprawę utworzenia nowego instytutu wojskowo-naukowego w celu przygotowania oficerów do zajęcia różnych posad administracyjnych.—Pismo *Choziain* otrzymało drugie ostrzeżenie za artykuły umieszczone r. z. w nr. 43, 46 i 52.—W Ispahanie (Persya) utworzono konsulat rosyjski z etatem 9,000 rs. w złocie.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Kuryer Warszawski* pisze: „Według autentycznych informacyj naszego korespondenta petersburskiego, kurator okręgu naukowego warszawskiego, rz. r. st. Apuchtin opuszcza swoje stanowisko.“

— W Radomiu do grona rachmistrzów spisu jednodniowego zaliczono kilka kobiet.

— Wiktor hr. Baworowski w Galicyi zapisał swój olbrzymi majątek na następujące cele: Założenie Muzeum sztuk pięknych we Lwowie, zakładu naukowego w Tarnopolu nad Seretem, szkoły rolniczej i leśnej, średniej. Nadto mają z dochodów w pewnej części korzystać instytucye już dawniej istniejące: Akademia umiejętności w Krakowie, szkoła malarska. Pewna część, nie więcej niż 12,000 złr., przeznaczona na cele humanitarne i dobroczynne. Cała fundacya ma nosić nazwę: „Zakłady Baworowskie.“ Gdyby fundacya nie była w życie wprowadzona, cały majątek przejść ma na Muzeum brytańskie w Londynie i Instytut francuski w Paryżu!!

— Nowozatwierdzona przez ministeryum spraw wewnętrznych kasa pożyczkowo-wkładowa farmaceutów, ma być otwarta nietylko dla członków Towarzystwa, lecz i dla wszystkich pracowników w tym zawodzie, tutejszych i prowincyonalnych.

— Według uchwały komisyi specyalnej, właściciele fabryk mają prawo łączenia się w związki celem utrzymania wspólnym kosztem szkół fabrycznych oraz przedsiębrania środków dla zabezpieczenia robotników od nieszczęśliwych wypadków.

Szkoły. W Warszawie powstaje szkoła dla białoskórników. Kurs trzyletni. (*Birż. Wied.*).

— Inspektorem wszystkich zakładów naukowych, pozostających pod zarządem ministeryum skarbu, na południu Rosyi, mianowano prof. Weryhę. Inspektoraty takie mają być urządzone w innych dzielnicach.

— Na kursy praktyczne przy Tow. pszczelniczo-ogrodniczem będą przyjmowani młodzi włościanie bezpłatnie. Wielu członków tej instytucyi wyraziło gotowość dać im u siebie darmo mieszkanie i pożywienie.

— Na stacyi Smoleńsk kolei Rysko-Orłowskiej otwarto szkołę telegrafistów i przyjęto 30 uczniów.

— Jednocześnie z zaprowadzeniem na Syberyi reformy sądowej, utworzony będzie wydział prawny przy uniwersytecie tomskim.

— Z Mitawy donoszą, iż ogłoszono rozporządzenie o oddaniu wszystkich miejscowych szkół kościelnych luterańskich pod władzę ministeryum oświaty. Prawo wydawania pozwoleń na otwieranie takich zakładów oraz nadzoru nad nimi przechodzi z konsystorzów luterańskich do władzy naukowej.

— W zakładach górniczych rządowych powstaje kilka szkół górniczych trzeciorzędnych.

Koleje i komunikacye. Zarząd odnogi kolei Syberyjskiej, linii Mandżurskiej, na terytoryum chińskiem, będzie w Petersburgu. Prezesa zamianuje cesarz chiński, wiceprezesem będzie inż. Kierbedź.

— Pisma podają następujące szczegóły o budowie w dalszym ciągu nowych kolei: Sieć dróg suwalskich, które rozpoczęto w roku przeszłym z funduszu dziesięciomilionowego, przeznaczonego na r. 1896, będzie rozszerzona przez połączenie z Poleską, tj. odnoga Augustowsko-Grodzieńska ma być połączona z Wołkowyskiem, stacyą kolei Poleskich na odnodze Baranowicko-Białostockiej. Długość linii wyniesie około 60-iu wiorst, budowanych w warunkach dość pomyślnych, na gruncie suchym, choć nieco falistym. Z usług tej komunikacyi korzystać będą osady: Roś i Wołpa. Najbardziej wszakże zyska Grodno, które stanie się stacyą krzyżową drogi Petersbursko - Warszawskiej z odnogą Suwalsko-Wołkowyską, przez Baranowicze z drogą linią główną, Warszawsko - Moskiewską. Kolej od Kowla do Dąbrowicy jest oddziałem przyszłej głównej linii Warszawsko-Kijowskiej przez linię Nadwiślańską. Dystans Kowel—Dąbrowica wypełni środek przyszłej linii pomiędzy Kowlem a Dąbrowicą, stacyą kolei Poleskich odnogi Wileńsko-Rowieńskiej, po zużytkowaniu kilkomilowej długości odnóg prywatnych, zbudowanych w celu eksploatacyi lasów w okolicy Kowla. Dystans linii Warszawa—Kijów od Dąbrowicy przez Radomyśl wykonany będzie później z budżetu roku 1898-go i następnych. Oddzielną odnogę stanowi linia od Połonnego, stacyi kolei Południowo-Zachodnich, pomiędzy Równem a Koziatynem do Starokonstantynowa. Linia ta w r. 1898-ym przedłużoną będzie od Starokonstantynowa do Płoskirowa i połączy odnogę Zmierzyniecko-Wołoczyską z Brzesko-Koziatyńską. Linia od stacyi Rozdzielnej odnogi Birzulsko-Odeskiej kolei Południowo-Zachodnich do Mikołajewa, Chersonia i Aleksówki, ostatniej stacyi na lądzie stałym (linii Łozowsko-Sewastopolskiej), połączy wzdłuż wybrzeża azowsko-czarnomorskiego koleje Południowo-Zachodnie: Charkowsko-Mikołajewską i Łozowsko-Sewastopolską.

Ze świata rzemieślniczego. *Kuryer Warsz.* zaznacza, że większość tutejszych majstrów cechowych, krępowana kontrolą władzy, zaprzestała przyjmować terminatorów na mieszkania. Wobec tego muszą oni szukać noclegów poza miastem. Przyjezdni z prowincyi, którzy nie mają tu rodziców, poza warsztatem zawierają po drodze niepotrzebne znajomości, wdają się z ulicznikami. Wielu w braku opieki moralnej nabyło złych skłonności, straciło miejsce i zmarnowało się. Celem ukrócenia złego majstrowie uchwalili wystąpić do władzy o ulgi w przepisach, dotyczących mieszkań dla terminatorów. Między innemi zaprojektowano, ażeby wolno im było nocować w warsztatach, wieczorem porządkowanych i skrapianych wodą.

Wystawy i zjazdy. Towarzystwo techniczne urządza w Petersburgu 13 lutego wystawę broni myśliwskiej i okazów z dziedziny łowiectwa.

— Stowarzyszenie międzynarodowe znawców prawa karnego zapowiedziało na kwiecień zjazd w Lizbonie. Z naszych przedstawicieli udział weźmie sędzia A. Moldenhawer.

— Artyści malarze tutejsi otrzymali zaproszenie do udziału w wystawie obrazów, która się odbędzie r. b. w Odesie.

— Towarzystwo ogrodnicze krakowskie w drugiej połowie czerwca urządza wystawę róż, kwiatów gruntowych letnich i trwałych, truskawek i warzyw wczesnych. Prócz tego jesienią odbędzie się w Krakowie wystawa warzywno-owocowa.

— W Petersburgu na sierpień r. b. zapowiedziano kongres geologiczny międzynarodowy.

Posiedzenia. Sekcya techniczna Towarzystwa przemysłu i handlu poruszyła sprawę utworzenia kasy pomocy dla techników. Po długich jednak sporach nie potrafiono dojść do ostatecznych wniosków, w jakim zakresie będzie działać ta instytucya. Nie wyjaśniono także dostatecznie, kto może być uczestnikiem kasy; czy obejmie ona wszystkich pracowników na polu techniki, czy tylko wyłącznie członków sekcyi.

— P. Józefa Bojanowska na posiedzeniu sekcyi rzemiosł w osobnym referacie poruszyła myśl utworzenia wieczornych kursów handlowch dla kobiet.

Przemysł i handel. Przedstawiciele górnictwa starają się w ministeryum skarbu o bank wyłącznie na potrzeby tej gałęzi przemysłu.

— Nowa ustawa giełdowa będzie zastosowana na giełdach: petersburskiej, warszawskiej, odeskiej, kijowskiej, rostowskiej i libawskiej. Na innych będą obowiązywały nadal przepisy dotychczasowe.

Katastrofy kolejowe. Na kolei Samarsko-Złatoustowskiej w ciągu dwu dni zdarzyły się dwie katastrofy, miejsca zaś ich są odległe od siebie o 140 wiorst. W sobotę dn. 23-go w pobliżu stacyi Iglino rozbił się pociąg towarowo-osobowy, idący z Czelabińska do Samary. Zginęło 2 ludzi, ranionych 20. Wagonów zdruzgotanych 11. Dn. 25-go na 499 wiorście od Samary pomiędzy stacyami Szafranowo a Rajówką rozbił się pociąg mieszany. Liczba osób zabitych i ranionych jeszcze nie wiadoma. Zaczynając z początkiem roku nową statystykę katastrof, zaznaczamy, że w okresie 10-dniowym jest to już trzeci wypadek.

Zmarli. Józef Górnicki, artysta-rzeźbiarz, w Warszawie, kustosz Towarzystwa sztuk pięknych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu L. G. w Rydze. Zapewnie miał Pan na myśli katalog dla samouczków. Otóż od lat kilku grono ludzi pracuje nad nim.

J. K. we Lwowie. Nie.

Panu Witoldowi Gozdaw. Nie dla nas. Jest to talent, ale niezasługujący jeszcze na to, ażeby jego utwory poddawać tak szczegółowej analizie, jak badanie „poezyi ciała."

Panu Edw. Słoń. „Grzech" nie zmienił ani swej drogi, ani swej siedziby. W krainie zbytku slał on sobie gniazda oddawna.

Panu L. B. w Łucku. List Pański przesłaliśmy księgarni Gebethnera i Wolffa, która jest największą firmą nakładową i która Panu swoje katalogi wyekspedyuje.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 17 Января 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.